№ 37.

WARSZAWA. KRAKÓW.

16 Września 1911 r.

PRENUMERATA WYNOSI
w Warszawie:
Kwartalnie . . . . rb. 1 k. 25
rocznie . . . . . rb. 5 k. —
za odnoszenie do domu rb.— k. 10
zmiana adresu . . . . . k. 15

PRENUMERATA w Krakowie:
kwartalnie kor. 4, rocznie kor. 16.
W GALICYI I AUSTRYI:
kwartalnie kor. 4.40, rocznie kor. 17.00. Zmiana adresu 40 hal.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . . . rb. 1.50
rocznie . . . . rb. 6.—
We wszystkich państwach związku pocztowego kwartalnie rb. 1.60.

Redakcya i Administracya w Warszawie, Aleja Jerozolimska 49. Filia w Łodzi. ul. Piotrkowska 81, tel. 12.00, firma „Promień“. *Reprezentacya na Galicyę: Kraków,* ul. Zyblikiewicza 8. Filia we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 2. Agencya w Poznaniu: Księgarnia św. Wojciecha. Telefon Redakcyi 80.75, Administracyi 73.22.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Aleja Jerozolimska 49, Warszawa.**

O „psiej duszy“ ze stanowiska Arystotelesa.

Mój kochany Waldorfie, z wielkiem zajęciem przeczytałem (w N. 31 „Tygodnika Mód i Powieści“) twoje tłómaczenie z Maeterlincka o „psiej duszy“. Widocznie artykuł ten uderzył Cię punktem widzenia bardzo niezwykłym, wyjątkowo ideowym. Na każdą rzecz można się zapatrywać ze stanowiska pewnej idei, powstałej w naszym umyśle. Czy pamiętasz z nad mego biurka te dwie śliczne głowy Arystotelesa i Platona ze Szkoły Ateńskiej, Rafaela? Plato wznosi rękę w górę, tam, gdzie są idee, co mają oświecać nasz sposób myślenia. Arystoteles pochyla całą dłoń ku matce-ziemi, która ma być karmicielką nietylko samego ciała, ale i naszych poglądów. Maeterlincka „psia dusza“ dlatego jest niebanalna, bo całą przenika jedna platońska idea.

Maeterlinck powziął taką ideę, że gdy w całej naturze wre walka o byt walka zażarta, jeden pies zdołał wyjść z zaczarowanego koła tego zmagania się wszystkich z wszystkimi. Dlatego to pies mógł się stać przyjacielem człowieka. Nietylko się nim stał, więcej nawet, on nas czci, kocha, uwielbia. Ta idea—tkwiąca rzekomo w psie—sprawiła, że chcąc nam być użytecznym, stał się bądź wielkim brytanem, bądź jamnikiem, bądź maleńkim salonowym pieskiem, aby — pod tym lub innym jakimś względem — być nam najużyteczniejszy. Czy dobrze ująłem ideę Maeterlincka? Jak nić przewodnia, wije się ona i w całym wstępnym poglądzie na stosunek udomowionych zwierząt do człowieka. Stosunek to ujarzmionych niewolników—z wyjątkiem jednego psa — dyszących nienawiścią do swych ciemięzców, lub conajmniej obojętnych.

Nie wiem, czy znasz „Takie sobie bajeczki“ Rudyarda Kiplinga (tłómaczone w Warszawie 1904 u Arcta). Tam ujęty ten sam temat inaczej. Starano się przedstawić stosunek całkiem dzikiego człowieka do całkiem dzikich zwierząt, później udomowionych. Rzecz traktowana jest z angielskim humorem, interesująco, bez pretensyi do poglądów naukowych na tę kwestyę, ale przecież raczej ze stanowiska arystotelesowego. W tym razie „Taka sobie bajka“ daleko jest bliższa prawdy, niż maeterlinckowska idea. Będziesz mógł to osądzić najlepiej, przeczytawszy do końca to, co zamierzam najtreściwiej powiedzieć w tej materyi.

A więc musisz naprzód wiedzieć, że pies „dziki pies, co chadzał niegdyś swojemi dzikiemi drogami“, jak mówi Kipling, nigdy nie istniał. Istniały raczej dzikie psy. Napewno bowiem dziś wiemy, że na pierwotne rasy psów złożyły się udomowione wilki i przyswojone szakale, oraz ich mieszańce. Do dziś dnia na wyspach Balearskich istnieje zdziczały szpetny pies, najbardziej ze wszystkich ras zbliżony do szakala. Drugim składnikiem psiej rasy był jeden z azyatyckich wilków. Sądzę, że można nawet dobrze oznaczyć datę, kiedy ten składnik naszych udomowionych zwierząt, dostał się do Europy. Wyobraź sobie, jak to dawno, skoro człowiek w Europie wówczas nie miał jeszcze kura, jako udomowionego ptaka. Kura wprowadzili do Europy z Azyi Scytowie. Scytowie to— którzy nauczali Greków Homerowych kuć pancerz stalowy i tarczę Achilla,—przywiedli z sobą z Azyi i psa-wilka. Jak wiesz, dowiodłem — na podstawie nazw zwierząt i roślin w słowiańskich językach—że praojczyzną Słowian była południowa i środkowa Rosya. Scytowie odparli prasłowian od Czarnego morza; stykali się przeto z jednej strony z Grekami, z drugiej ze Słowianami. Wtedy to otrzymali od nich Słowianie kura i psa. Psa całkiem innego, niż ów pochodzący od szakala, psa-wilka, który też zatrzymał scytyjską nazwę sobaki. Sobaka (udomowiony wilk) była to bestya insza, niż pies-szakal, zapewne też większy i silniejszy od niego, a przedewszystkiem odważniejszy. Każdy więc w Europie chciał mieć psa-sobakę. Tam gdzie najłatwiej było o nią, w bezpośredniem sąsiedztwie Scytów, nazwa sobaka wyparła nawet prawie całkiem pierwotną słowiańską nazwę psa.

Z takich dwu elementów: szakala i wilka powstały rasy psów. Cóż dziwnego, że są tak niezliczone, skoro człowiek potrafił n. p. z kura, mającego przecież tylko jednolity początek, wytworzyć takie mnóstwo ras. Daleko było łatwiej wytworzyć ich więcej i rozmaitszych z kilku elementów pierwotnych, oraz ich mieszańców. Pies nie był może podatniejszym materyałem do wytwarzania ras od innych domowych zwierząt, ale człowiek ciągle z nim przestając i używając go do coraz nowych posług, zwracał na to uwagę, żeby jego wielkość, postać, kształtność i t. p. przez odpowiedni wybór stosować do coraz nowych celów, do jakich go używał. Dziś z tak plastycznego materyału robimy nieledwie, co nam się podoba. Wytworzyliśmy przecież niemego psa, psa policyi, prawie nigdy nie szczekającego.

Dlaczego pies stał się przyjacielem człowieka? Dlatego, ponieważ człowiek z żadnem innem udomowionem zwierzęciem nie obcuje tak wiele, jak właśnie z psem. Od owcy pospolicie potrzebujemy tylko raz na rok wełny, dbamy więc tylko o jej wyżywienie. Krowa daje nam codzień mleko, doimy ją codzień, a skotarz styka się z nią codzień też indywi-

dualnie, przywiązując i odwiązując od żłobu, pojąc lub dając karmę. Koń pojedyńczo lub w parze przez cały dzień pozostaje w zetknięciu z człowiekiem, pewna część koni z inteligentniejszymi ludźmi, niż skotarz i owcarz. To też koń jest inteligentniejszy od krowy i owcy. To tak, jak z dziećmi. Z dwojga dzieci jednako inteligentnych dziecko chowane w garderobie w 7 roku życia nie będzie tak rozwinięte, jak było drugie, co przebywało ciągle z wykształconą matką, już w jakimś 3-cim, 4-ym roku życia. Praca, jaką wkładamy w dzieci i zwierzęta, odbija się na ich inteligencyi. Przyczynia się do tego i dobre obchodzenie wychowawcy z wychowankiem. I zwierzęta doskonale to odczuwają. Przez to wyrabia się w nich charakter. Jak wiesz, mój kochany, przebywałem jakiś czas pod namiotami Arabów. Widziałem wówczas, jak tam koń żyje z całą rodziną, jak jest nieledwie jej kochanym członkiem; czyż dziwna, że i on kocha wzajemnie? Czytałeś pewnie o nadzwyczajnem przywiązaniu gęsi, wywołanem ciągłą ich pieszczotą. (Tyg. Mód i Powieści N. 30). Porównajże z arabem konia angielskiego, andaluzyjskiego, fryza... czy nie odnajdziesz w ich usposobieniu różnic, wskazujących ci odrazu charakter ludzkich podras (narodów), co te rasy zwierząt wyhodowali, lub wypieścili. Przecież wszystkie psy mają duszę, ale jakże różną inteligencyą, a cóż dopiero wychowaniem i wykształceniem. Czy można mówić o „psiej duszy“ jako idei, co kierowała intelektem psa a nawet stworzeniem jego postaci? Wszystko, co Maeterlinck powiedział o „psiej duszy“, jest ideową fikcyą poety. Fikcyą bardzo zręcznie przeprowadzoną, interesującą, ale przecież tylko fikcyą.

Może jeszcze mylniejszą jest idea Maeterlincka w zastosowaniu do innych domowych zwierząt. Nie mam dziś czasu o tem mówić, niema na to miejsca. A zresztą ten wstęp tak jest organicznie złączony „ideą“ z rzeczą o psie, że z tego, com powiedział, poznasz, jak dalece Maeterlinck pisał o psiej duszy ze stanowiska Platona. To i racya tytułu, jaki nadałem mojej pogawędce z tobą.

Pisałem w Zakopanem 15-go sierpnia 1911.

Józef Rostafiński.

Na obczyźnie.

Boże! Kto nie był z Tobą na Golgoty
[wzgórzu
Choć myślą... choć przez chwilę.. kto nie
[cierpiał z Tobą,—
Ten rzuci się do stóp Twych, okryty
[żałobą,
Uderzy o ziem czołem na Twojem podnóżu,
Na ziemi bez ołtarzy, na stepach bez końca
I pozna mękę Twoją, patrząc w zachód
[słońca...

Tam, na zachód... nie gaje ciągną się
[oliwne,
Nie kaktusy tam kwitną, ananas nie rodzi,
Ale tam powiew inny w wieczór czoło
[chłodzi,
Ciągną lasy sosnowe, zadumane, sztywne...
Tu dal stepu bez końca, ziemia złotem poi
Ale tam swoja ziemia... i ludzie tam swoi...

Tam jakaś moc tęsknicy przez niebo
[przegląda...
Tam deszcz pada inaczej, bez wichrów
[i burzy...
Tam na kościelnych wieżach krzyż nad
[wioską stróży...
Tam Bóg bliższy—mniej męki od człowie-
[ka żąda,
Bo wyjąwszy mu z duszy rozpaczną
[tęsknicę,
Zarzucił ją na niebo nasze bladolice.

Tam, gdy wieczór czerwcowy na ziemię
[opada,
Wietrzyk chłodny—kroplisty pot z czoła
[otrząsa,
Po liściach drzew stuletnich, jak dziecina,
[pląsa,
I o dziejach ojczystych z rzeczną falą gada...
Tu ziemia --bez przeszłości, a drzewa bez
[wieku
Giną—i wczesnym zgonem tłumią moc
[w człowieku.
Tam, gdy łzy płyną z serca, jak tej rosy
[krople,
Orzeźwiają, podnoszą i ból koją ciężki,
I dają moc tajemną, aby powstać z klęski...
Tu—łzy niewypłakane krzepną w jakieś
[sople.
Tu tęsknica, rzuciwszy polskich ziem
[mieszkanie,
Na straży duszy stoi, jak wieczne konanie..

Boże! Tutaj kłosują olbrzymie jęczmiona,
Tu pszenny łan—bogactwem, prawie miną
[złota,
Ale tutaj zabija rozpaczna tęsknota,
Tu ziemia dla nas niema matczynego łona,
Tu drzewa, posadzone przez sieroty—dzieci
Uschnie, nim się nieboszczyk w szary proch
[rozleci...
I po tych pustych stepach jeno kowyl siwy
Ma prawa stare, stare może gada dzieje,
Lecz ani się rozpłacze, ani się rozśmieje,
I wciąż niżej uchyla swojej srebrnej grzywy.
Tu pieniądz śpi w kopalniach... moc słońca...
[moc złota...
Ale dla polskiej duszy—tu tylko.. Golgota.

WITOLDYNA.

OSTOJA-SAWICKA.

SPÓŹNIONE SZCZĘŚCIE.

NOWELLA.

8)

— Żadnych błyskotek! rzekła. Ja biedna wdowa, zaledwie zegarek z łańcuszkiem włożyć mogę. Westchnęła do tych ozdób, do wspaniałych brylantowych kolczyków, w których było jej prześlicznie.—Wrócę do tego z czasem, teraz nie wypada, to nie licuje z żałobą i smutnym nastrojem ducha. Okręciła się na pięcie i uśmiechnięta wybiegła z garderoby, poprawiając po drodze włosy na skroniach. Szła szybko drobnymi krokami, naśladując podlotka nieco zakłopotanego. Przechodząc przez jadalnię, kazała lokajowi przyprowadzić małą Zośkę, córeczkę ogrodnika, najładniejsze dziecko w całym dworze.—A niech ją matka umyje i czysto ubierze, zawołała za odchodzącym. Weszła do pokoju, gdzie czekał na nią doktór, i stanęła przed nim wyprostowana, tryumfująca swym własnym wyglądem. Śledziła bacznie wyraz jego twarzy, ale on ani zdumienia ani zachwytu nie okazał, obrzucił okiem jej białą krótką sukienkę i dziwił się w duszy, że starej kobiecie chce się przebierać za młodą dziewczynę, i jakkolwiek maskaradą tą wcale zachwycony nie był, ulegając jednak swym salonowym przyzwyczajeniom powiedział, że wygląda zdrowo i ładnie, że dawno już nie widział jej w tak dobrym stanie zdrowia. Uśmiechała się zadowolona i pragnęła się zarumienić pod wpływem tej pochwały, ale stare, zapadnięte policzki pozostały żółte i zwiędnięte, nie zdobyły się na najlżejszy chociażby odcień młodocianego rumieńca, zato serce biło gwałtownie, jak u pensyonarki w czasie egzaminu, gdyż czuła na sobie badawczy wzrok doktora, i oddałaby chętnie resztę swego nieciekawego życia, żeby w tej chwili być napowrót młodą, ładną i niebezpieczną, przeczuwała bowiem, że w myślach porównywał ją z ową „ohydną“ Julką, której przyjazdu wyczekiwał niecierpliwie. Tę niemą obserwacyę przerwało lekkie skrzypnięcie drzwi i do pokoju wsunęła się wypchnięta przez lokaja dziewczynka, może pię-

cioletnia, bosa, w czystej koszulinie, opasanej czerwoną tasiemką, z jasnemi włoskami splecionemi nad czołem. Dziecko przytuliło się plecami do ściany i przyglądało się nieśmiało białej pani, która wyciągnęła do małej rękę. P. Natalia nie lubiła dzieci które zwykle uciekały przed tą panią w czarnej sukni z zaciśniętemi blademi wargami, chowały się przed nią do rowu albo za krzaki, jakkolwiek obdarzała je czasami cukrem, sucharkami, piernikami; w tej chwili jednak, pamiętając, ile wdzięku nadaje kobiecie pieszczota z dzieckiem, przysiadła na podłodze obok Zośki i własną uperfumowaną chusteczką obtarła z ust dziecka resztki kaszy czy cukierków; chciała ją nawet pocałować, ale pasek zbyt ciasny nie pozwolił jej nachylić się swobodnie, skończyło się tedy na pogłaskaniu tłuściutkiej, rumianej twarzyczki.

— A my się znamy dobrze, mówiła do doktora, wskazując głową na maleństwo przytulone do ściany, czasami łowimy razem motylki,—unosiła się z lekka na palcach, chcąc wykazać młodocianą sprężystość i lekkość ruchów.

— Dziatwa ma ten dar szczęśliwy, że nawet nas starych ożywić i na chwilę odmłodzić potrafi, odrzekł doktór z filozoficzną rezygnacyą; na chwilę—powtórzył, bo to wszystko co sztuczne, jest nietrwałe.

P. Natalia zerwała się z podłogi, zważając, że dalsze czulenie się do nieznośnego dzieciaka jest zupełnie zbyteczne!

— My starzy, powtórzyła z westchnieniem, tem lepiej, żeśmy już swoje przeszli, bliżej mamy do grobu.

— I dlatego tyś się dziś za śmierć przebrała,—chciał zauważyć, spoglądając na jej nadzwyczajnie chudą figurę, powstrzymał się jednak od tej złośliwości przez litość raczej nie przez grzeczność.

— Pisała pani do Julki?—zapytał, spoglądając na zegarek.

— Zapomniałam! zawołała, udając roztargnienie. Napiszę dziś jeszcze, jak tylko wrócimy z ochrony.

— A więc chodźmy, bo tam na nas czekają. Wstał z kanapki i ujął Zośkę za rączkę, p. Natalia wzięła ją za drugą rączkę i wyszli przez ganek do parku. Dziecko dreptało między nimi, podnosiło od czasu do czasu główkę i przyglądało się bojaźliwie temu panu i tej pani, przemówić nie mając odwagi. Gdy Zośka zwalniała kroku, p. Natalia ciągnęła ją za rączkę i przymuszała do pośpiechu.

— Niechże jej pani tak nie targa, to nie lalka, to żywy człowiek! Spoglądali na siebie nad główką dziecięcą, uśmiechali się wymownie, przyczem p. Natalia wspomniała o swem nadzwyczajnem ukochaniu dziatwy! Nawet zamorusane dzieci pachciarza całuje przy spotkaniu. Kłamała, jak z nut, gdyż nawet w rękę siebie nie pozwalała całować, bojąc się zarazić krostami i brzydząc się zapachem cebuli, którym pachciarzątka były przesiąknięte. Przed ochroną, przerobioną ze starej, oddawna opuszczonej gorzelni, stały gromadki dzieci, oczekując na panią dziedziczkę, która sama miała wprowadzić pierwsze dziecko do tego przybytku kultury. Doktór znudzony trochę powolną przechadzką zbliżywszy się do drzwi otwartych na rozcież, schwycił Zośkę na ręce, a wnosząc ją tryumfalnie do obszernej pustej izby, zawołał wesoło: „Niech żyje dziatwa! uczcie się tu i bawcie się wesoło, a ja będę was często odwiedzał i dla grzecznych przyniosę piękne książeczki z obrazkami. A gdy maleństwa obstąpiły go dokoła, postawił Zośkę na podłodze, z kieszeni tużurka wyjął dużą papierową torebkę, podniósł ją do góry, a na główki dziecięce posypały się karmelki. Dzieci krzyknęły radośnie, wyciągały rączki i otwierały dzióbki, jak głodne ptaki. Zośka objęła rączynami nogę doktora i z podniesioną główką patrzała mu w twarz błagalnie; wśród ogólnego zamieszania nie zdołała złapać ani jednego karmelka. Wargi jej drgały, a niebieskie oczęta zaszły łzami, doktór nie dopuścił jednak do wybuchu płaczu, obszukał kieszenie starannie, znalazł jeszcze kilka karmelków, a podrzucając je na dłoni przed oczyma malutkiej wołał: na łap, masz, a prędzej, bo cię znowu starsze skrzywdzą. Zośka łapała cukierki obiema rączkami i pakowała je do buzi z papierkami. Doktór wsunął jej palec do buzi i pomimo gwałtownego protestu z jej strony, cukierki wydostał, odwinął papierki i dwa czerwone karmelki wsunął dziewczynce napowrót do ust.— Papierków jeść nie można, mówił do dzieci, które skwapliwie rzuciły się na odrzucone papierki i schowały je, gdzie które mogło, do kieszeni spodni, albo za koszulę; malutki chłopczyk o krzywych nóżkach czołgał się po ziemi i zbierał starannie wszystkie papierki, chowając je do barankowej czapy, którą złapał ojcu wychodząc z chałupy, p. Natalia przyglądała się tej scenie, oparta z wdziękiem o futrynę okna.

— A ja tam dla nich podwieczorek kazałam przygotować, rzekła, chcąc zaznaczyć, że i ona pamięta o zrobieniu przyjemności dzieciom.

— Łże, pomyślał doktór, ale podwieczorek dać musi bo, już ja tego dopilnuję, niech chociaż biedaki skorzystają trochę i zarobią cośkolwiek na tej bladze bezwstydnej.—To i ochroniarki niech pani zaprosi, dodał, wskazując głową na dwie młode dziewczyny, uwijające się, wśród dzieci. P. Natalia spojrzała mu w oczy ze zdumieniem, w jej ptasim mózgu przechwałka o przygotowaniu podwieczorku pierzchła w mgnieniu oka.

— Gdzie mam je zaprosić? zapytała, pochylając się do jego ucha.

— A na ten tam podwieczorek, odrzekł ze śmiechem.

— Ależ, naturalnie, zawołała, chociaż to im przyjemności nie zrobi, dzikie są i w towarzystwie dystyngowanem nawet szklanki kawy nie przełkną; wolę im tu przysłać, nie będą się krępowały.

(D. c. n.).

EUGENIA ŻMIJEWSKA.

Mały szkic wielkiej duszy.

(Urywek z Pamiętnika).

HENRYK SIENKIEWICZ.

Autor „Krzyżaków“, twórca tylu siłaczów, ma wielkie poszanowanie dla siły fizycznej, jest zwolennikiem gimnastyki, sportów, konnej jazdy, a nadewszystko polowania, tej jedynej w dzisiejszych czasach zabawy poniekąd rycerskiej. Słynie z celności strzałów a wiadomo, że polował na wszelką zwierzynę, zaczynając od kuropatw i zajęcy, a kończąc na lwach, słoniach i tygrysach. Do łowów ciągnie go nietylko zamiłowanie wrodzone, lecz i wyrozumowana zasada.

— Ruchu! jaknajwięcej ruchu!—mawia—nie folgujmy lenistwu. Nie zaniedbujmy niczego, co ćwiczy siłę, odwagę. W odporności muskularnej, zarówno jak i w odporności ducha—przyszłość narodu. Dopóki polacy siedzieli na koniu, dopóty ich świat szanował. Skoro zasiedli przy stołach biesiadnych i musieli popuszczać pasa, skoro utyli, skończyło się z ich preponderencyą. Tylko narody chude, zwinne dochodzą do dziejowego znaczenia. W miarę zwiększania się objętości jednostek, tracą objętość państwa. Rozmiar terytoryalny kraju jest zwykle w stosunku odwrotnym do rozmiarów fizycznych jego obywateli.

Dla ich siły i krzepkości fizycznej, zarówno jak i dla zalet umysłowych i duchowych, nad wszystkie obce narody ukochał anglików. On jeden, z Kenigiem podczas wojny transwalskiej „stawiał“ na nich, a tak był przejęty wypadkami w Afryce południowej, że wcale pisać nie mógł.

Z tej epoki mam jego czterowiersz, piosnkę Tommy Atkinsa.*)

Poślijcie mnie gdzieś w taki Eden,
Gdzie grzech i cnota, djabeł jeden,
Gdzie z Dziesięciorga można drwić.
I gdzie wciąż człeku chce się pić.

Wogóle Sienkiewicz jest politykiem zawołanym. Podczas wojny rosyjsko japońskiej przepowiedział jej wynik.

Pamiętam jedno jego odezwanie.

— Oprócz braku wodzów, braku przygotowań, rozstrzygnie tu i odległość. Rosya ma liczne wojska, tak jak morze ma mnóstwo wody, ale przewieźć te wojska na plac boju—prawie tak trudno, jak przelać morze przez tę oto cygarniczkę. Zanim Rosya z transportem się upora, japończycy zrobią swoje.

Sienkiewicz ma gruntowne wiadomości strategiczne. Zdobył je przed rozpoczęciem swoich słynnych kampanii ze szwedami, z kozaczyzną, z krzyżakiem. Były to dla niego prawdziwe wojny; przeżywał je, odczuwał, widział—i dlatego my je tak odczuwamy i widzimy.

Ma swój odrębny, charakterystyczny sposób tworzenia. Cały plan układa w myśli, nie robi notatek, nie zna brulionu. Pisze odrazu do druku, nigdy inaczej, jak urywkami, z felietonu na felieton. W ciągu roboty, rozmiary powieści i figur rosną mu pod piórem. Skoro już zasiądzie do pisania, skoro się do roboty wciągnie, idzie mu ona niezmiernie łatwo i prędko. Wpierw jednak przygotowuje się długo, mozolnie i pracowicie.

Studya historyczne do „Ogniem i Mieczem" trwały przeszło dwa lata, do „Potopu" — rok. Czyta bardzo dużo. Wertuje całą prawie literaturę historyczną danego przedmiotu, głównie pamiętniki współczesne, kroniki, Silva rerum, wżywa się w ten sposób w epokę, zaznajamia się z nią w najdrobniejszych szczegółach, i dopiero, kiedy postacie historyczne stają przed jego oczyma żywe, z krwi i kości, wtedy pisać zaczyna.

Wielki wpływ na rozwój jego talentu miała jego żona, ś. p. Marya z Szetkiewiczów, kobieta niepospolitych zalet umysłu i serca. Przy pierwszych powieściach historycznych dodawała mu otuchy, przytłumiła w nim pesymistyczną nutę, która dźwięczała w poprzednich jego utworach.

Ta istota, anielskiej prawdziwie dobroci, zachęciła go do pierwszego morderstwa.

— Twoim bohaterom zbyt dobrze się dzieje—rzekła mu, gdy pisał „Ogniem i Mieczem".—Jeden bodaj musi zginąć.

— Ale który?

Sienkiewiczowi żal było każdego. Wreszcie, po długich naradach, postanowili uśmiercić Longinusa Podbipiętę.

Opłaciło się krew przelać dla takiego obrazu!

Nie byłam świadkiem tego wyroku śmierci, lecz w mojej obecności ważyły się losy krwiożerczego Azyi. Każdy z moich kolegów obmyślał jakąś torturę, nieboszczyk Antoni Zaleski był za rozszarpaniem końmi; do wbicia na pal przyczynił się najlitościwszy z ludzi — ś. p. Mścisław Godlewski. On też trzymał do chrztu „Ogniem i mieczem", oraz „Potop". Sienkiewicz sam nie silił się na wyszukanie tytułów dla pierwszych powieści swej trylogii.

Później, gdy pisał „Quo vadis", losy Chilona były przedmiotem żywych dyskusyi.

— Stanie się rzecz niespodziewana. Chilon wzruszy panią do łez—oświadczył mi pewnego razu, wchodząc do redakcyi „Słowa".

— Niepodobna?—zawołałam.

— Mogę się z panią założyć.

Nie trzymałam zakładu.

Rezultat był łatwy do przewidzenia, skoro wygrana zależała od jego pióra.

* * *

Nie zapomnę nigdy chwili, gdy przyniósł do redakcyi „Słowa" 15,000 rb., przysłane od „pana Wołodyjowskiego".

Powitaliśmy go, jak tryumfatora. Rzucił pieniądze na moje biurko.

— Możemy się tarzać w złocie—zawołał żartobliwie.

Wiedział już, co z darem uczyni.

Nazajutrz przyniósł list do redakcyi, brzmiący w te słowa:

„W dniu dzisiejszym odebrałem przesyłkę pieniężną, obejmującą piętnaście tysięcy rubli, i kartkę ze słowami: „Michał Wołodyjowski — Henrykowi Sienkiewiczowi".

Jakkolwiek zwyczaj składania podobnych dowodów pieniężnego uznania dla literatów i artystów jest dość rozpowszechniony za granicą, nie był on dotychczas znany u nas, gdzie, wobec ogólnego ubóstwa, tysiące pilniejszych potrzeb oczekuje zaspokojenia. Co się tyczy mnie osobiście, przyjęcie takiego daru nie jest zgodnem ani z mojem usposobieniem, ani z moją fantazyą. Nie będąc człowiekiem bogatym, zarabiam tyle, a nawet więcej, ile mi potrzeba. Dlatego, mimo wielkiej wzdzięczności dla dawcy, ukrywającego się pod pseudonimem „Michała Wołodyjowskiego", daru jego przyjąć nie mogę. Pieniądze złożyłem, jako depozyt, w Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem, gdzie w ciągu trzech lat mogą być, za udowodnieniem, odebrane. Po upływie tego terminu, rozporządzę niemi według własnego uznania.

Zostaję etc.

Henryk Sienkiewicz.

Jak wiadomo, w następstwie, gdy nikt się po pieniądze nie zgłosił, autor „Pana Wołodyjowskiego" utworzył z nich fundusz na zapomogi kuracyjne dla literatów chorych na płuca, czyniąc jego szafarzem Akademię Krakowską. Zrobił to przez pamięć żony, którą mu choroba piersiowa zabrała po kilku latach wielkiego szczęścia.

Z okazyi tego listu, miałam sposobność, zresztą nie poraz pierwszy i nie poraz ostatni, doznać wielkiej uprzejmości, więcej nawet—dobroci Sienkiewicza.

Cieszyłam się, że taki rękopis pomnoży mój zbiór pamiątek, chciałam go schować. Te nadzieje mnie zawiodły. O rękopis upomniał się redaktor, Mścisław Godlewski. Gdy wyszedł z nim do drugiego pokoju—rozpłakałam się.

— Co pani jest? — spytał mnie bardzo serdecznie Sienkiewicz.

Wstydziłam się przyznać, żeby mu się nie wydać dziecinną i śmieszną.

— Czy pani kto zrobił przykrość?—wypytywał.

Kiwnęłam głową, nie mogąc głosu wydobyć.

— Cóż to za zbrodniarz?

— Redaktor.

— Zaraz ja się z nim rozprawię.

Wyszedł do drugiego pokoju. Za chwilę wrócił ze *„zbrodniarzem"* który mi przekładał, że chce ofiarować ten dokument zbieraczowi Sienkiewiczowskich rękopisów, znanemu historykowi literatury.

— Niech się pani pocieszy — rzekł autor „Pana Wołodyjowskiego" żartobliwie.—Jutro przyniosę inne „orędzie", zwrócone wprost do pani.

I przyniósł mi śliczną swoją fotografię z serdecznym napisem, w którym tytułował mnie „koleżanką".

(D. c. n.)

* * *

*) „Żołnierz angielski znany jest pod nazwą: „Tommy Atkins"—własnoręczny przypisek Sienkiewicza.

Aeroplany nad Warszawą.

W walce o pierwszeństwo między balonami motorowemi i aeroplanami, więc aparatami, cięższemi od powietrza, ostatnie odnoszą walne zwycięstwo. Nie tak dawno jeszcze, lot przy pomocy maszyny cięższej od powietrza uważano za mrzonkę, fantazyę; niewiele lat nietylko udowodniło praktycznie genialność idei, ale doprowadziło do niezwykłego już rozwoju awiatyki. Pionierzy powietrznego lotu nie cofają się przed żadnemi trudnościami, nie obawiają się żadnych niebezpieczeństw, dążą z nieustraszoną odwagą do podboju atmosfery. Olbrzymie przeloty okrężne zdają się wskazywać, że niezbyt już odległa przyszłość, kiedy aeroplany staną się nowym, stokroć doskonalszym od innych środkiem komunikacyi. Odważni lotnicy zapuszczają się daleko, ponad wzburzone, groźne fale mórz, wznoszą się na wysokość tysięcy metrów w górę, kędy nawet ptaki nie mogą szybować, przelatują ponad miastami, czy to są potężne gmachy Paryża, czy nawet olbrzymie „drapacze nieba“ w Nowym Jorku.

A w tej walce z atmosferą nie brak też pracy i wysiłków polskich. Zarówno w teoryi jak w praktyce lotniczej polacy zdobywają sobie coraz sławniejsze imię. Mamy i uczonych konstruktorów, i wynalazców, i pilotów, coraz częściej stających do wielkich zawodów; nawet pilotem-kobietą nie może nam już zaimponować zagranica.

Z teoretyków na pierwszem miejscu wymienić trzeba Drzewieckiego, z którego zdaniem liczy się cały świat lotniczy, którego zdanie—można powiedzieć bez przesady—jest dzisiaj uważane wprost za wyrocznię. Konstruktorów i wynalazców pracuje kilkunastu już na wszystkich ziemiach polskich. Jest we Lwowie inżynier Libański, probujący właśnie w Wiener-Neustadt zbudowaną przez siebie „Jaskółkę“ są w Krakowie bracia Schindlerowie, do których pomysłów przywiązywano duże nadzieje; są wytrwali pracownicy także w Warszawie, w Łodzi i innych miastach Królestwa, żeby wymienić choć takie nazwiska, jak braci Chlebowskich, pp. Zbierańskiego, Cz. Tańskiego i t. d. Liczba pilotów polskich wzrasta również szybko. Najdoskonalszy z nich, ś. p. Maciejewicz, zginął tragiczną śmiercią wraz z bratem. Ale ta pierwsza polska ofiara życia na polu awiatyki nie odstraszyła innych. Jedni kształcą się w Paryżu w sztuce lotniczej, jak Własiński, Małyński, inni w Niemczech, jak Brunon Jabłoński, który zdobył sobie już dość głośne nazwisko, jeszcze inni odbywają studya w rosyjskich szkołach lotniczych, ostatni wreszcie ćwiczą się w szkole awiatycznej w Warszawie.

Powstała bowiem w Warszawie zarówno pierwsza polska fabryka aeroplanów, jak i pierwsza szkoła lotnicza. I pod tym względem nie ustępujemy zagranicy. Tem więcej, że szkoła warszawska ma uczniów zdolnych i wytrwałych, uczniów pełnych zapału do obranego zawodu. Tak aparaty jak i piloci warszawskiej „Awiaty“ wzięli udział w niedawnym konkursie lotniczym w Petersburgu, oraz w przelocie z Petersburga do Moskwy—nieudanym z powodu błędów organizacyjnych. Mimoto i aparaty zdały praktyczny egzamin i lotnicy osiągnęli wcale wybitne rezultaty, dowodząc, że stworzona przez ks. Stanisława Lubomirskiego instytucya rozwija się jak najpomyślniej.

Niebawem jednak zgotowała „Awiata“ Warszawie większą i milszą niespodziankę. Po otwarciu zakładów postanowiono urządzić wzloty na polu wyścigowem mokotowskiem, celem popularyzacyi awiatyki wśród szerszych warstw. Początek nie był zbyt udany, lotnicy albo wcale nie mogli się wzbić w powietrze, albo podlatywali tylko krótko i niewysoko. Przybycie do Warszawy awiatora Scipio del Campo i współzawodnictwo z nim lotników warszawskich doprowadziło do wyników niezwykle świetnych. Ludność Warszawy ujrzała pewnego dnia poraz pierwszy nad gmachami miasta olbrzymiego ptaka, płynącego w ogromnej wysokości. Na głos motoru wszystkie głowy zwracały się ku górze, na ulicach stawały tłumy, zapatrzone w niezwykłe zjawisko. Potem powtarzało się ono dzień po dniu, budząc zawsze nie mniejszą sensacyę. I liczba ptaków poczęła wzrastać w przestworzach nieba; niebawem po pierwszym pojawiał się drugi.

Równocześnie na lotnisku mokotowskiem rozgrywały się nie mniej interesujące wypadki. Lotnicy ustanawiali dla Warszawy rekordy, tak wysokości, jak długości lotu; uczenica „Awiaty“, p. Mrozińska, odbywała wzloty ze swoim nauczycielem-pilotem, bardzo interesujące. Niestety, loty nad Warszawą przyćmiewały wszystko inne. I dziwić się nie można. Bo wszystko, co dokonuje się w obrębie lotniska, uważa szerszy ogół raczej za produkcyę. Natomiast loty nad miastem były dziełem rzeczywistem, zapowiedzią przyszłości rozwoju lotnictwa.

A lotnicy, którzy odważyli się polecieć ponad gmachy Warszawy? Kto wie, ile uwagi, ile skupienia wymaga dziś jeszcze kierowanie aeroplanem, zrozumie, że niezbyt dokładnie mogli się oryentować w widoku ścielącego się pod ich stopami miasta. Odróżniali niektóre place, szeroki pas Wisły ciągle błyszczał im przed oczyma, o szczegółach ani nie mogli myśleć, ani nie mieli na to czasu.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wywarł na mnie widok człowieka wznoszącego się po raz pierwszy w powietrzu. Widok aeroplanów nad Warszawą dał wrażenie stokroć silniejsze. A sądzę, że nie mnie tylko.

Broniąca się długo i zacięcie atmosfera poddaje się pod panowanie człowieka.

S. S.

Z tygodnia na tydzień.

Cały świat cywilizowany, artystyczny w pierwszym rzędzie, został wstrząśnięty do głębi skradzeniem z paryskiego muzeum sztuki „Luwru“ najcenniejszej perły, sławnej, przesławnej Mony Lizy, arcydzieła Leonarda da Vinci.

Kto zwiedzał Paryż, ten o Monie Lizie nie zapomni nigdy. Luwr bowiem jest najchlubniejszą z ciekawości stolicy artystycznego świata, a dzieło Leonarda—największą z ciekawości Luwru. Obraz miał sławę magiczną. Zawsze stali przy nim widzowie, niektórzy w ekstazie, zresztą niezawsze do gruntu szczerej. Wokoło niewielkiego obrazu tego wytworzył się bowiem kult prawdziwy, który sugerował tłumy. Pod działaniem sugestyi tej malarze głosili, że oto jest największy obraz świata,—i, kto wie, może się nie mylili. Paryż był dumny z Mony Lizy, idealnej kochanki plastyków. Ona to nadawała jakby miastu temu sankcyę wyższą, której żadne inne nie posiadało. Nawet Rzym, nawet Florencya.

Nie piszę tu krytyki, lecz notuję tylko wrażenia i charakteryzuję pewien stan duszy ludzkiej. Trzeba było żyć trochę śród malarzy paryskich, aby pojąć magnetyzm, wywierany na dusze plastyków przez to dzieło sztuki — i aby zrozumieć oburzenie bez granic malarskiego świata na złodziejstwo, nie mające analogii w historyi sztuki.

Obrazów Leonarda jest wogóle mało. Trzy czy cztery muzea mogą się pochwalić jego obrazami zaledwie. Ten potężny człowiek był zbyt genialnym. Zajmowało go wszystko, oprócz jedynie literatury, i wszędzie był nowatorem. W muzyce, w inżynieryi, w wojskowej sztuce, w mechanice, w teoryi sztuki. Zajmował się żeglugą powietrzną w sposób racyonalny i gdyby umiano w tym czasie budować motory elektryczne, pewno wynalazłby aeroplan. Obrazów zostawił mało. Do każdego zbierał materyały latami. Jego rysunki i szkice świadczą o bezprzykładnych przygotowaniach i o obserwacyi wprost zawrotnej. Jeżeli gdzie „długa cierpliwość“ jest charakterystyką i wytłomaczeniem geniusza, to przedewszystkiem u Leonarda. Gdy już nazbierał dość materyału obserwacyjnego, poczynał dystylować oleje do swoich farb. Miał własne sposoby przygotowania farb i oleju do farb,—sposoby zresztą gorsze od będących wówczas w użyciu, i dzięki pasyi i manii Leonarda do wynalazczości na każdem polu, jego obrazy gorzej wytrzymują próbę czasu od obrazów jego rywali. Sławna *Cena*, Ostatnia uczta Chrystusa z uczniami, wymalowana na ścianie klasztoru medyolańskiego, ledwie z największymi wysiłkami daje się ocalić od niszczącego działania czasu. Sama Mona Liza jest podobno daleką od tego stanu, w jakim wyszła z pod palców genialnego artysty. Pewne farby, niedość umiejętnie spreparowane, miały spełznąć nieco, rzecz—stracić na świeżości, uroku i subtelności.

W każdym razie Leonardo zostawił w tem dziele świadectwo, że był psychologiem w sztuce przed stworzeniem świadomem psychologii. Jego Mona Liza posiada wyraz twarzy, ma uśmiech, który mówi do widza coś—z głębi duszy do głębi duszy. I takie to mówienie jest niepokojące, w wyrazie jasne a w słowach nie dające się określić, idące z jakiejś dali istoty ludzkiej i na dno duszy widza sięgające, że słynny Uśmiech Mony Lizy posiada już literaturę ogromną. Iluż mędrców usiłowało wyjaśnić nam zagadkę tę, którą Leonard postawił i zabrał klucz do grobu ze sobą. Jestto, istotnie, wyższa magia sztuki plastycznej, ten wyraz twarzy tak mówiący, tak wyraźnie, a tak nie dający się określić jakimkolwiek innym środkiem, oprócz pędzla Leonarda.

I jako plastyk był tu Leonardo nowatorem. Dał nam symfonię barwami, które w dekoracyjnej sztuce uchodzą za martwe. Tony bronzowe przeważają na obrazie, na którym niema farb czerwonych wcale. Stopniowanie w tej monotonii jest jednak tak subtelne, tyle tu odcieni pomiędzy tem, co leży bliżej nieco widza, a tem, co odsunięte jest od niego nieco dalej, iż po raz pierwszy malarska sztuka pokazała tu swą całą zdolność modelarską, po raz pierwszy złudzenie „ciała w przestrzeni“ doprowadzono do takiej doskonałości.

I może dobrze będzie zwrócić przy tej okazyi uwagę czytelników naszych na kopię Mony i Lizy (nazywanej także i Giocondą) istniejącą w Muzeum Warszawskiem, a także i na samo owo muzeum, zbyt mało znane i wcale jeszcze nie popularne. Malarze nasi powiadają, że ta kopia jest bardzo dobra. Już za życia Leonarda obraz ten, nad którym strawił cztery lata, był sławnym,. Zdjęto z niego siedem czy osiem kopii, z tych niektóre pod kierunkiem samego twórcy. Być może, iż mamy w Warszawie jedną z nich.

W każdym razie Muzeum Warszawskie nie jest dość uczęszczane. Zapewne, iż nie zaspakaja ono naszej dumy narodowej, ani, że tak powiem, miejskiej. Naród o dawnej cywilizacyi, miasto o ludności milionowej, innem powinnoby się muzeum sztuki pochwalić przed światem. Trudno. Los nie chciał. Ale jeżeli tu niewiele znajduje się dla zaspokojenia naszej dumy, dość tam rzeczy cennych dla naszej nauki, dla kształcenia się, dla wychowania tego cennego daru cywilizacyjnego, który się nazywa smakiem artystycznym. W bezporównania pomyślniejszych warunkach postawiony Kraków ma muzeów i zbiorów wiele, ale nie ma nic lepszego na ogół w dziale sztuki powszechnej od naszego muzeum, choć chwali się swym Rafaelem i podobno nawet Leonardem. Co innego w dziale sztuki polskiej, gdzie pochwalić się może Witem Stwoszem. Ale nasze muzeum zgromadziło dość obrazów cennych mistrzów średniowiecza, aby stworzyć sobie ognisko kultu, w którem szlachetnymi ogniami rozpalać można otwierające się na piękno—dusze. Jestto jedna z najważniejszych naszych instytucyi wychowawczych.. Powinniśmy lepiej o tem pamiętać na przyszłość, aniżeli dotychczas.

Wincenty Kosiakiewicz.

Głosy kobiece w prasie.

P. Dr. Z. Daszyńska-Golińska w bardzo interesującej korespondencyi z Krakowa w „Prawdzie“ pisze między innemi o zadaniach Towarzystwa piękności kraju.

Chodzi tu o strzeżenie zewnętrznego piękna miasta i wsi polskiej, oraz o utrzymanie ich w charakterze narodowym. Zasady, którym Towarzystwo hołduje, wyłożone zostały w obszernej, pięknie wydanej broszurze, skreślonej piórem p. Ewy Łuskiny (W obronie piękności kraju). Towarzystwo ma dziś już filie we Lwowie, Sanoku, Rzeszowie, Podgórzu i Wieliczce, dążąc wszędzie do ochrony krajobrazu przed oszpeceniem, tak hojnie pleniącem się na podłożu kapitalistycznej tandety, w mniemanych upiększeniach.

W Krakowie, gdzie na czele Towarzystwa stoi dr. St. Goliński, a wydział składa się z malarzy, rzeźbiarzy, architektów, zwrócono obecnie specyalną uwagę na znane w całej Polsce Planty, które wieńcem zielloności ujmują stare miasto. Prześlicznie wydana i bogato ilustrowana broszura z planem plantacyi, wykonanym poraz pierwszy dla Plant współczesnych, daje dokładny obraz historyi ich powstania, rozwoju i potrzeb dzisiejszych.

Poza tem Towarzystwo rozpowszechnia przez konkursy zdobienie domów i zaułków roślinnością, nadzoruje wystawy sklepowe, zajęło się sprawą plakatów i szyldów. Toczy ono również homeryczne boje przeciw wszelkiego rodzaju cyrkom, strzelnicom, kawiarniom, stawianych na Błoniach i Plantach, oraz zaciętą walkę przeciw powstaniu pomnika Kościuszki na Krakowskim Rynku.

Ostatniej sprawie poświęcić należy specyalnie słów kilka, gdyż liczne protesty artystów z Paryża, Lwowa, Krakowa przeciw postawieniu pomnika, oraz popularna osobistość artysty -- malarza Włodzimierza Tetmajera, obecnego posła do Rady państwa, dają jej wielki rozgłos. Otóż pomnik nie jest ani ładny, ani oryginalny, należałoby go raczej skromnie ukryć, niż stawiać na tle przepięknej architektury. Poza tem estetyka dzisiejsza sprzeciwia się stawianiu pomników na wielkich placach. Skoro zatem pomnik stanąć będzie musiał, skoro są ludzie uznający, iż Kościuszce należy się pomnik, oprócz kopca górującego nad miastem, niechże przynajmniej uszanują charakter Rynku.

* * *

P. Cecylja Walewska w dwu felietonach „Nowej Gazety“—bardzo gorąco ubolewa nad hasłami, jakie szerzą kobiety w pawieści polskiej porewolucyjnej. Młode pionierki, domagające się *równych praw*, wolną miłość podejmują jako najbardziej palący temat, jako punkt wyjścia do oskarżenia mężczyzny. Utwory ich, dużo czytane i bardzo gorliwie komentowane, burzą obmierzłe twierdze kazuistyki miłości, ale—czy pociski ich trafiają w jądro żądań „nowej kobiety“, tej, która już dała poznać wolę swoją i zsumowała najpilniejsze do przeszacowania stare wartości.

Oto pytanie, na które autorka artykułu daje przeczącą odpowiedź.

Wolna miłość!...

Kochać po męsku, mieć prawo wyboru kochanków, mieć prawo zmieniania ich bez klątwy opinii, wyodrębnić miłość zmysłową od fizycznej, dzielić się, jak przeciętny Kato rodziny, między domową prozą i pozadomową poezyą życia, lub naodwrót, — naśladować we wszystkiem mężczyznę, przyswoić sobie jego wybryki erotyczne, jego cynizm i rozpętanie płciowe — przed takim postulatem zatrzymała się najnowsza powieściowa kobieta.

Autorka upatruje w tej atmosferze, pełnej najniezdrowszych pierwiastków, powiew literatury obcej.

Pada zaraza na młode, czerstwe talenty,—pisze. Wierzmy, że otrząsną się z niej. Ale przed tym posiewem — strzedz należy przedewszystkiem pióra kobiece, które dotąd stały zawsze na straży górnych ideałów uczucia.

Jastrzębiec.

Z zapadłego kąta.

Poza Węgrowem, Iłżą i t. p. okropnościami jest jeszcze w kraju równie historyczne jak upośledzone gniazdo: bez wody, bez lasu, bez komunikacyi uczciwej, torfem zadymiony, ongi królewski gród—Łęczyca.

Dobry Bóg wynagrodził jednak nieszczęśliwych, zmuszonych zamieszkiwać tę *strategiczną* krainę, dał tam garść dobrych ludzi, zwłaszcza wiele wprawdzie, ale zato bardzo dobrych, inteligentnych i pracowitych panien.

Najbliższym dowodem tej łaski losu jest „Święto kwiatka“, obchodzone w sierpniu. Dzień był boskiej piękności, nie upalny acz prawdziwie letni, wczesnego więc ranka 24 panien i panienek z różnych sfer, w towarzystwie panów, uwijało się po mieście niosąc kwiaty i skarbonki, a po południu przez ulice miasta i aleje odwiecznego „Królewskiego ogrodu“ przeciągał korowód prześlicznie, z wielkim smakiem i nakładem ozdobionych kwieciem karet, faetonów, bryczek i wozów. Ziemianie okoliczni dali dowód swej miłej, zawsze godnej naśladowania łączności z miastem.

Ta elegancka kooperatywa dała tysiąc kilkaset rubli na fundusz zapomogowy dla niezamożnych uczniów miejscowej, realnej, 4-o klasowej szkoły prywatnej.

Jedna racya więcej, że ławą, ramię przy ramieniu, nawet przy skromnych środkach i w zapadłym kącie wiele dobrego zdziałać można.

Łęczyca. *M. Kam.*



N. 1—3a. Kostyumy jesienne z materyału w paski.

Opisy do N-ru 37-go.

N. 1. Kostyum z molletonu w paski.

Materyały w paski mają niezmierne powodzenie, dajemy więc trzy modele bardzo szykowne i praktyczne dla skromnego wykończenia. Dla blondynki bardzo do twarzy będzie kostyum z molletonu bronzowego w jaśniejsze paski, z kołnierzem i pateczkami u mankietów ciemno-bronzowemi. Jak to widac na ryc. 1, spódnica, plecy, połowa przodów i rękawy krajane wzdłuż, zaś drugie części przodów z baskiną i ranwersy są z materyału wziętego poprzecznie, podobnie jak plisa na spódnicy, zachodząca pod bryt tylny. Kapelusz filcowy, przybrany materyą koloru *castor*.

N. 2—2a. Kostyum tailleur z żakietem.

Z dodaniem plastronu z kołnierzykiem stojącym może służyć dla starszej osoby; kammgarn dla starszej osoby odpowiedni będzie ciemno-fiołkowy popielaty z czarnym, lub ciemno-brązowy, dla młodej może być zielony, czerwonawo-bronzowy, szafirowy, popielaty z białym. Spódnica w trzy bryty, zapięta wzdłuż przodu, z tyłu tworzy panneau, z przestebnowaniem i naszyciem pletnią, która zakończa brzegi żakietu. Kołnierz w górnej części gładko wyłożony, z przodu tworzy ranwersy, rozszerzone u dołu, kryte ciemniejszym atłasem i przypięte guzikami.

N. 3—3a. Kostyum tailleur z serge w drobne paski.

Żakiet, krajany wzdłuż, ma odciętą baskinę, dopasowaną skośnie do przodów i boczków, plecy idą w całej długości. Spódnica w trzy bryty, z przodu zaokrąglona tunikowo, dopełniona poprzecznym brytem. Kołnierz marynarski dochodzi do ranwersów; naszycie guziczków dodać podług ryciny 3. Kapelusz aksamitny z piórami.



N. 4. Kostyum tailleur sukienny.

N. 5. Kostyum tailleur z białej serge.

N. 6. Kostyum z wełny ratine lub mouchetè i aksamitu.

N. 4. Kostyum tailleur sukienny.

Odpowiedni dla młodej osoby kostyum tailleur składa się ze spódnicy z tuniką otwartą z boku i z żakietu z baskiną zaokrągloną z przodu, wyszytą sutaszem tego samego koloru. Kołnierz wykładany, przedłużony z przodu w ranwersy, sięgające do paska, naszyty drobniutką riuszką, odznaczającą jakby drugi kołnierz. Z tyłu dodany z grubej gipiury rodzaj marynarskiego kołnierza; guziki atłasowe.

N. 5. Kostyum tailleur dla osoby w średnim wieku.

Dla osoby wyjeżdżającej nad morze najmodniejszy jest w kolorze białym, zaś dla pozostającej w mieście trzeba wybrać serge wełnianą bronzową, ciemno-zieloną lub ciemno-fiołkową albo popielatą. Spódnica ma bryt przedni i boczne odcięte krócej i zakończone szeroką plisą, wierzchem stebnowaną, z boków przyciśniętą guzikami; wązki bryt tylny tworzy kontrafałdę, spływającą do dołu. Żakiet półwcięty otacza szeroka plisa en forme, podwyższona na środku pleców w patkę, przytrzymaną guzikami. Żabot koronkowy.

N. 6. Kostyum jesienny z wełny mouchetè lub ratine.

Na czarnej aksamitnej spódnicy spada gładka tunika, otwarta z boku, wycięta w zęby, zastebnowane dwa razy. Żakiet skośnie zapięty ma szeroki kołnierz pelerynowy, w zęby wycięty, przyciśnięty aksamitnym kołnierzem; takież mankiety.

N. 7—9. Ubrania strojne wizytowe, na obiad proszony, do kasyna. i t. p.

N. 7. Suknia wizytowa z odmiennym stanikiem.

Odpowiednia dla młodej osoby, składa się ze spódnicy z tuniką, uszytych z czarnej taffetas z szeroką jedwabną frendzlą, i z bluzki z atłasu *biscuit*, przedłużonej w baskinę u pleców, a z przodu u dołu sfałdowanej nakształt paska. Wykrój szyi i rękawy zdobi haft kolorowy lub naszycie galonem; guziczki atłasowe.



N. 7. Ubranie wizytowe. N. 8. Ubranie na obiad proszony. N. 9. Ubranie do kasyno lub na reunion.

N. 8. Suknia z draperyą; na obiad proszony, do kasyna i t. p.

Przedstawia nietylko modny fason, ale i modne zestawienie kolorów czarnego z białym. Czarna atłasowa spódnica, szersza od dotychczasowych, ma wązki tren prosto ścięty u dołu, w górze zachodzi gorsecikowo. Stanik biały atłasowy z inkrustowaną szeroką koronką, pokryty bluzką kimono z czarnego jedwabnego muślinu, przez który przegląda koronka. Dla szczupłej figury bardzo zgrabna jest draperya, skośnie obciągnięta i zachodząca gorsecikowo na stanik.

N. 9. Suknia biała atłasowa.

Wspominaliśmy już poprzednio, że białe suknie jedwabne modne są jako ubrania wizytowe i że suknie ślubne można przerobić i użytkować. Rycina 9 przedstawia właśnie suknię, zwracającą uwagę świeżym fasonem, odpowiednim dla osób szczupłych. Na spódnicy jedwabnej naszyta z przodu jedna bardzo szeroka lub dwie węższe falbany koronkowe; zwierzchnia atłasowa spódnica spada gładko i jest z lewej strony przodu zebrana w fałdy, przewiązane sznurem jedwabnym z kwastami ozdobnemi. W podobny sposób fałdują się przody bluzki, poniżej zapięcia na atłasowe guziki; kwaściki mniejsze, niż u sukni. Około wykroju szyi plisowanie tiulowe.

N. 10—11. Kapelusze aksamitne.

Rycina 10 przedstawia fason kloszowy, kryty aksamitem czarnym, obciągniętym gładko na rondku a bufiasto sfałdowanym na główce; złączenie główki z rondem kryje suta riusza z piór strusich. Wspaniałe pióro przypięte stojąco z lewego boku. Pióra dają tegoż koloru co kapelusz lub zupełnie odmienne, np. bleu paon albo vert Empire. Niezmiernie oryginalny płaski fason, przypominający kapelusze z przed lat trzydziestu, widzimy na ryc. 11. Jest to coś pośredniego między budką a kloszem; denko jak patarawka, z obu stron kryte aksamitem czarnym, przybrane wielką, płaską kokardą z materyi faille i pęczkiem małych cytrynek.

N. 12. Szlafroczek dla młodej mężatki.

Przybrania chusteczkowe formą Marie Antoinette, kapturkową, lub szalową, w najrozmaitszy sposób upinane, są obecnie modne przy sukniach zarówno skromniejszych, jak i bardzo strojnych. Rycina 12 przedstawia ubranie chusteczkowe, zastosowane przy szlafroczku, który można odrobić z materyi jedwabnej i muślinu jedwabnego, albo z wełny i batystu, gdy chodzi o mniejszy wydatek. Teraz gdy zbliża się pora zimniejsza, bardzo praktyczny będzie szlafroczek z welwetu



N. 10. Kapelusz z piórami strusiemi.

czy flanelki z chusteczką z materyi liberty. Model do ryc.12 był z materyi *charmeuse* z chusteczką z białego jedwabnego muślinu, przyszytą szalowo do wielkiego kołnierza z koronki weneckiej. Brzegi chusteczki zakończa plisowana falbanka, złączona wszywką; końce chusteczki spięte kokardą spadają poniżej kolan. Szlafroczek ma formę princesse, odciętą powyżej stanu w rodzaju krótkiego bolero. Zamiast kosztownej koronki weneckiej‘ można dać kołnierz z koronki szydełkowej, której opis szczegółowy i piękne wzory dawaliśmy w „Tygodniku Mód“ w roku zeszłym i bieżącym.

N. 13—15. Przybranie sukien (łatwe do odrobienia własnoręcznie).

Pracowitym a oszczędnym „elegantkom“, wzorującym się na „Tygodniku Mód“, młodym osobom, które lubią być modnie ubrane a mało wydać na „fatałaszki“, dajemy dziś wzory modnego przybrania sukien, żakietów, bluzek, złożonego z frendzli, guzików, torsadki, które tanim kosztem i pracą bardzo łatwą mogą przygotować własnoręcznie. W pierwszym rzędzie stoją najrozmaitsze co do rodzaju i szerokości frendzle, walczące o pierwszeństwo z koronkami. Frendzle modne jedwabne kordonkowe i z plecionek, szmuklerskie, dżetowe i perełkowe, różnej szerokości. Moda w chwili obecnej ma upodobanie do frendzli i zastosowanie ich w ubraniu doprowadziła do punktu kulminacyjnego — nosimy frendzle przy tunikach, chusteczkach, kołnierzykach, na stanikach, u rękawów kimono, przy zarzutkach (écharpes), szarfach, krawatkach! Prawda że modne frendzle bywają bardzo kosztowne, ale jednocześnie mamy różne gatunki frendzli do wykonania własnoręcznie. Frendzle jedwabne kordonkowe dają przy sukniach z lżejszej materyi i wełnianych; do kostyumów tailleur dają zawsze frendzlę kordonkową wązką (na 5 do 7 cent.), która względnie jest dość droga. Można odrobić ją bardzo łatwo i pośpiesznie, kupiwszy kordonek i sutasz; wyszukać kawałek grubej, sztywnej tektury, uciąć ostrym scyzorykiem równy, prosty pasek w szerokości żądanej frendzli, zwinąć kordonek na kłębek i trzymając w jednej ręce tekturkę, drugą ręką owijać na niej równo, nitka przy nitce kordonek, uważając, aby nie był ani zbyt przyciągnięty, ani za luźno. Pokrywszy tekturkę, trzeba wziąć sutasz i przytrzymując równo wyciągnięty u góry, przyszywać nitką jedwabiu do sutaszu każdą nitkę kordonku, bacząc, żeby nie było szpar między jedną a drugą. Przyszywszy wszystkie nitki mocno i równo, przecina się brzeg dolny; szerszą frendzelkę można wiązać w kwaściki po kilka nitek, lub krzyżując promienie kordonku z sobą, otrzymać nagłówek siatkowy, wiązany bardzo mocno kordonkiem. Frendzla z plecionki jedwabnej jest mniej strojna, gdyż naśladują ją z tanich plecionek, słabych i wycierających się w użyciu.



N 12. Szlafroczek z kołnierzem chusteczkowym dla młodej mężatki.

Frendzla z perełek może być bardzo droga lub bardzo tania, zależnie od użytych perełek, mocnych, szlifowanych kryształowych, dżetowych, metalowych (złote, srebrne, stalowe), albo dętych, gniotących się w użyciu, których nie można stosować do sukien. Prześliczne, efektowne zakończenie tunik koronkowych, z muślinu jedwabnego, tiulu, lekkiej i klarownej materyi, stanowi frendzla z perełek, która je obciąga i niejako nadaje fason, Gatunek, kształt i kolor perełek, połączenie różnej wielkości i gatunków, np. szklanych z metalowemi, białych z kolorowemi, zależy od sukni, przy której mają służyć. Frendzlę dżetową (lekką i błyszczącą tylko z prawdziwego dżetu) dają przy sukniach strojnych z czarnej materyi liberty lub z kolorowego muślinu jedwabnego, idąc za modą chwili bieżącej, która białe i jasne suknie zdobi czarnym

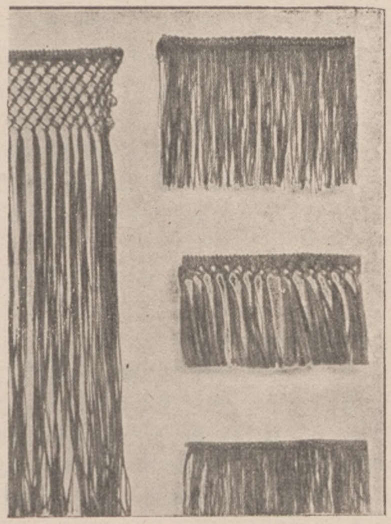


N. 11. Kapelusz z płaskiem denkiem.

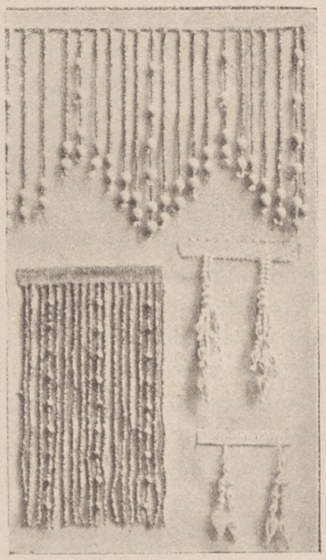
askamitem i dżetem. Można robić frendzle, mieszając drobniutkie i większe perełki, lub nawłócząc perełki na kordonek. Do umocowania frendzli z perełek służy sutasz lub plecionka wązka odpowiedniego koloru. Perełki trzeda kupować na łuty; frendzlę kordonkową można naśladować z bawełny perlé.

Drugiem bardzo modnem i prawie nadto szafowanem przybraniem są guziki, w najrozmaitszych rodzajach i wielkości. Guziki pokrywane materyałem można zamówić w sklepach niciarskich lub szmuklerskich, dając materyał i dobrawszy foremki drewniane: płaskie, wypukłe lub kulki. Guziki szmuklerskie lub wyszywane podług wzoru będą kosztować drogo, ale przygotowane własnoręcznie mało co kosztują, oprócz roboty miłej i łatwej. Trzeba kupić foremki drewniane z dziurką w środku, wybrać resztki materyału skośnego, przykrajać kółka odpowiednio wymierzone, obrzucić rzadko brzeg kółka i podłożywszy foremkę, przeciągnąć nitkę tak, aby zmarszczona od spodu materya pokrywała gładko obciągnięty guzik. Wyszycie może być z kordonku lub perełek, jak to wskazują różne wzory na ryc. 15, zastrzegamy tylko, że pod żadnym pozorem nie można zajmować ściegów za materyę z wierzchu guzika, lecz przeciągać nitkę przez dziurkę środkową, a zamocować od spodu za brzegi zmarszczone. Rozmiar guzików zmienia się, zależnie do czego mają służyć; do wyszycia trzeba używać mocnych nici szwajcarskich.

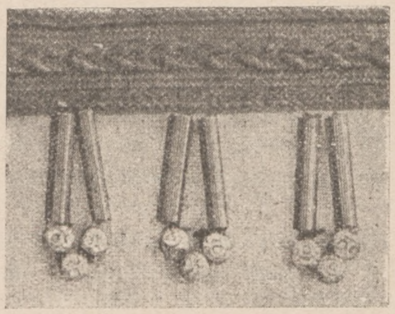
Rycina 16 przedstawia wzór naszycia, naśladującego zapięcie, w którem przy pletni jedwabnej naszyta długa sieczka z masy, drewniana (bukszpan) lub kościana, zastępująca dziurki, a paciorki również z masy, czy drewniane odmiennego koloru, zastępują guziczki. Naszycie to daje się na kołnierzyku, mankietach, klapkach u kieszeni, na szwach tuniki czy baskiny, tam gdzie ma zastępować zapięcie.



N. 13. Frendzle jedwabne (do wykonania własnoręcznie).



N. 14. Frendzle z perełek (do wykonania własnoręcznie).



N. 16. Naszycie z taśmy i paciorków.



N. 15. Guziki wyszyte ręcznie.

Nowości jesienne.

Dobór materyałów na kostyumy jesienne i płaszcze może zadowolić najwybredniejsze gusta — w stosach tkanin wełnianych' wszystkie zalecają się miękkością przy grubości, lekkością, choć są gęste i połyskiem jedwabistym miękkiego włosa. Nęcą oczy aksamity wełniane w pięknych modnych kolorach; *ratine, montagnac, neigeuses, serge,* wełny *bouclés* i cieńsze od nich *satin de laine* i satin laine et soie. Tegoroczna wełna ratine jest cieńsza od przeszłorocznej i w większym wyborze kolorów i odcieni bronzowych, fiołkowych, zielonych, szafirowych; jedyny zarzut *ratine* jest, że chwyta łatwo kurz, ale tę wadę ma najdroższy aksamit i plusz. Moda łączenia dwóch materyałów zapobiega łatwo temu zarzutowi, gdyż przy kostyumie z ratine można dać dół sukni z wełny w kratę, z sukna z połyskiem, z atłasu. Ponieważ paski są obecnie bardzo modne, więc i ratines wyrabiają w paski *(ratine pekinée)*: dają paski czarne, lub delikatne, jak nitka, białe, lub ton sur ton. Nowość przedstawia *ratine reversible* w dwu kolorach, np. szafirowa z lewą stroną popielatą, czarna z fiołkową, bronzowa ciemna z jasno drzewną, granatowa z niebieską, mirtowa z pawią, czarna z zieloną i t. p. Ale te nowości są za drogie, więc ogół musi poprzestać na materyałach tańszych, jak *serge*, cienkiej i miłej w dotknięciu, serge bourrue, grubszej, odpowiedniej na kostyumy zimowe.

Zwrócimy tu uwagę naszych czytelniczek na jeden ważny wzgląd a mianowicie, że materyały modne, wyborowe, drogie, są zwykle naśladowane w tańszych gatunkach, ładnych na rzut oka, ale bardzo nietrwałych w noszeniu! Nigdy nie opłaci się w wełnie modnej taniość, wyświeci się, spłowieje, wyciera prędko — gdy tymczasem wełna mniej modna a w dobrym gatunku—najpraktyczniejsza na kostyum do częstego użycia.

Drugi nowy materyał montagnac, zbliżony do ratine, lecz z włosem krótszym i cieńszym, pierwotnie wyrabiany tylko w kolorze czarnym i granatowym, służył na męskie paletoty — obecnie jest we wszystkich modnych kolorach i z lewą stroną odmienną (*réversible)*, jak prawie wszystkie modne wełny.

Aksamit wełniany nęci oczy pięknością barwy, mieniąc się w odcienia przy każdem zagięciu, a również ma spód odmienny, np. bronzowy z zielonem, popielaty z ponsowem. Aksamit wełniany od *zibeline* różni się tylko długością i układem włosa; oba gatunki są trwałe, gdy są drogie i wyborowe.

Dla młodych osób bardzo ładne są kostyumy z wełny w paski, która nie wymaga innego przybrania prócz zmiany kierunku pasków; osoby dobrej tuszy mogą nosić suknie w paski wzdłuż idące, gdyż poprzeczne będą pogrubiać. Praktyczny i trwały będzie kostyum z *draperie*, dekatyzowanej w sztuce przed uszyciem, żeby nie było plam od deszczu i błota; kolor do codziennego ubrania radzimy ciemno, popielaty, granatowy lub bronzowy, bo te i w zimie noszą na ulicę. Ładne są dla młodych panienek kostyumy z serge w kratkę czarną z białem, połączonej z serge w takąż kratkę z dodaniem pasków czy kraty w odmiennym kolorze np. zielonym, ponsowym, kaki, mauve; pierwsza służy na suknię, druga na przybranie.

Na płaszcze dla pań mieszkających na wsi, lub dla mieszkanek miasta, jeżdżących samochodem, modny i niezmiernie trwały jest nowy gatunek serge ciemno-popielatej, w pasy tegoż koloru. Która z pań woli rzeczy najświeższe, może wybrać serge popielatą w pasy kolorowe, przypominające dery na konie. Młode osoby noszą płaszcze z sukna szkockiego, miękkiego a mięsistego (na pół cent. grubości), z lewą stroną odmienną. Wytworne płaszcze modne będą z pluszu miękkiego lecz grubego, z *sileskine* reversible, w kolorze marron z lewą stroną mastic, vert olive i beige, ciemno-zielonym i niebieskawo-zielonym, szafirowym i blado-zielonym.

O materyałach na strojne suknie (d'après midi) i wieczorowe napiszemy w następnem sprawozdaniu, dziś wyliczymy tylko nowe tkaniny, któremi mogą się chlubić fabrykanci: aksamity, lamy złote, adamaszki w deseń aksamitny na tle atłasowem, voile jedwabny i muśliny ze szlakiem aksamitnym (imprimé), lub w kwiaty i girlandy, tkane w liście połyskujące metalicznie, plusze, atłasy, surah, wełny reversibles z jednej strony ciemniejsze, z drugiej w barwie jasnej i żywej lub delikatnej, bledziutkiej.

T.

Kronika mody.

Przeraża pogłoska o *krynolinie*.

Przeraża ale, nie tych, którzy śledzą zmienne mody wyroki. 120 lat temu noszono równie wielkie mufki, jakie rujnowały na futra kieszenie naszych strojniś przeszłoroczne sprawunki. A rok sześćdziesiąty jeszcze miał wielkie krynoliny, które co sto lat niemal bywały okazem złego smaku. Rozpinały się na tych stalowych klatkach szerokie spódnice, ubierane wodami, riuszami, naszyciami futrzanymi, stosownie do pory roku i przeznaczenia toalety. Długi stanik z baskiną spinały piękne guziczki. A rękawy szerokie zdobiły szerokie koronki. Duże płaskie kapelusze były związane na tak zwane brydy jedwabne. A trudno dziś sobie wyobrazić, jak się chodziło, siadało ruszało w tych balonach.—Jednak były.

—

Riusze bardzo są używane z ciemniejszej niż materyał sukni lub czarnej materyi.

—

Moda falbanek pozwoli na odświeżenie niejednej podniszczonej toalety.

—

Szale coraz wytworniejsze zawsze są w modzie. A jedwabne, dublowane materyą odmiennego koloru lub mieniącą, zastępują jesienną zarzutkę.

—

Długie szale futrzane, podbite atłasem

lub futrem cienkiem stanowią, piękne okrycie do powozu w mieście.

—

Szerokie czarne jedwabne szale, zakończone grubym haftem kolorowym lub złotym i czarną jedwabną frendzlą, są używane zamiast okryć do sukien wizytowych.

—

Chusteczki Marie-Antoinette są nieza wodnie wstępem do szerokich bufiastych rękawów.

—

Płaszcze z materyałów dublowanych nietylko są modne, ale ładne i praktyczne. Duże kołnierze, wyłogi, kaptury spiczaste, zakończone kwastem bardzo są noszone.

—

Kapeluszy małych z tafty lub miękkiego filcu i materyi cały szyk polega na zręcznem upięciu. Kokardy nienazbyt wielkie, lekkie, stanowią ich ozdobę.

—

Kolor czarny, biały i czarny z białym jest dominującą modą. Ale noszone będą piękne kolorowe kostyumy angielskie w barwach: granatowych zielonych, brązowych, popielatych i szarych.

—

Widzieliśmy prześliczny kostyum z firmy Hersego na zgrabnej kobiecie, która go doskonale nosić umiała. Ciemno-granatowa spódniczka krótka. Długi żakiet, którego mały wyłóg szalowy zdobiła trocha ciemnopawiego koloru materyi. Żakiet wyszyty na połach u dołu granatowym sutaszem, spinało jedno pasmanteryjne zapięcie w stanie. Do tego była bluzka niezmiernie wykwintna z szaro-elektryk miękkiej materyi, granatowej gazy i białej szyjki. Granatowy niewielki kapelusz zdobiła spokojna kokarda z materyi koloru bluzki, spięta tylko dwoma guzami jedwabnymi z paroma wplecionemi nitkami kolorowemi.

Całość wykwintnej toalety dopełniał ładny brązowy bucik i takaż rękawiczka.

Mrówka.

Co się dowiedziałam.

Szczęśliwa Francya! Za przykładem Ameryki uchwalono nowe prawo, określające stanowisko sądów dla małoletnich, jako instytucyę leczniczą. Powołani biegli stawiają sumienną dyagnozę, która decyduje o wyroku, jaki przypadnie w udziale młodocianemu pacyentowi. Więzienia dla tej kategoryi przestępców będą tylko sanatoryami. Społeczeństwo i państwo gorliwie zajęło się sprawą ufundowania jaknajwiększej liczby takich lecznic-uzdrowisk. Rola i udział kobiet jako „lekarek społecznych" są tu bardzo ważne.

Matki i wychowawczynie będą dopuszczone na stanowiska sędziów przysięgłych w procedurze względem nieletnich. Posiedzenia odbywać się będą przy drzwiach zamkniętych, a udział prasy i fotografów w celu publikacyi spraw oraz podobizn nieletnich „chorych" stanowczo wykluczony, gdyż zgodzono się jednomyślnie, że Herostratesowa sława nęci wyobraźnię i pokusza do naśladownictwa.

Do 13 roku życia przestępca uważany jest za nieodpowiedzialnego karnie.

Od 13—18 lat stawać będzie przed trybunałem właściwym. Sędzią ma być specyalista pedagog, biegły w psychologii wychowawczej. Do pomocy będzie miał „oficerów" i „oficerki" zdrowia społecznego.

Kobiety przyjęły w tem gorący udział, a międzynarodowy kongres do spraw kobiecych, z Maryą Szeligą na czele, przyłączył również swoją działalność do tego wspaniałego projektu.

„Mamusiom" przesyłam radę z własnego doświadczenia. Postępowałam podług wskazówek Rousseau.

Jeśli dziecko jest nieposłuszne, płacze, grymasi, uważajcie je za chore i nie irytując się niepotrzebnie, kładźcie najspokojniej do łóżka. Niech wie, że wolno mu wstać wtedy, kiedy będzie pogodne i wesołe, a więc zdrowe. Nie wymagajcie żadnych obietnic poprawy od niego, bo ono istoty obietnicy nie pojmuje. Nie karzcie klapsami, rózgą, stawianiem do kąta, lub, broń Boże, nie dawaniem przysmaków, bo to dzieci boli, upokarza i budzi gniew. Przekonałam się o skuteczności tej rady.

Janina Narewska.

Otyłość chorobliwa.

II

Wiemy już, jakie są najważniejsze przyczyny nadmiernej otyłości,—teraz przejdziemy do zaburzeń, spowodowanych przez nią w organizmie.

Otyłości nadmiernej nie powinniśmy nigdy lekceważyć. Skutki takowej zależą od stopnia otłuszczenia—powodów, wywołujących tycie,—poprzedniego stanu poszczególnych organów, a zwłaszcza serca, płuc i nerek, często zaś i warunków, w jakich żyjemy. Dlatego to otyłość alkoholików, piwoszów, jest zawsze rzeczą bardzo poważną, ze względu na towarzyszące jej stale zwyrodnienie organów wewnętrznych, podczas gdy otyłość kobiet, zjawiająca się często po „trzydziestce", może być zupełnie nieszkodliwa dla ustroju.

Tycie powoduje zwiększenie wagi ciała, wskutek czego praca mięśniowa przy każdym ruchu jest u osób tłustych znacznie większą, niż u szczupłych. Otyły męczy się prędko, poci się bardzo łatwo, staje się ociężałym i unika zwykle, ile możności, pracy fizycznej, forsownego ruchu, dalszych spacerów i t. d., co powoduje tem większe odkładanie tłuszczu z powodu zmniejszonego zużywania przy normalnym, lub nawet zwiększonym dowozie pokarmów.

Pierwsze już rzeczywiście chorobliwe (patologiczne) objawy rozpoczynają się w chwili, gdy zauważymy pewne upośledzenie działalności płuc i serca.

Chorzy—bo ich już tak nazywać musimy,—zaczynają uskarżać się na krótki oddech, zwłaszcza przy wchodzeniu na schody lub przy niewiele nawet przyśpieszonym ruchu,—na bicie serca, osłabienie ogólne i t. p. Puls jest często przyśpieszony, nierówny, przestankuje.

Jeżeli i teraz jeszcze nie zwrócimy uwagi na te objawy ostrzegające nas o zbliżającem się niebezpieczeństwie, to takowe zwiększają się stopniowo, ale stale. Wytwarzająca się powoli niedomoga serca czyni krążenie krwi coraz wadliwszem, pojawia się skłonność do katarów (głównie do bronchitu, czyli kataru oskrzeli), zaburzeń trawienia i t. d.

Brak dostatecznej pracy mięśniowej, spowodowany ogólnem osłabieniem, wpływa również ujemnie na krążenie, utrudniając odpływ krwi żylnej i powoduje przekrwienie wątroby i innych organów wewnętrznych, hemoroidy, upartą obstrukcyę etc.

Aby podołać zwiększonym zapotrzebowaniom organizmu, serce zmuszone jest coraz intensywniej pracować. To powoduje z początku przerost serca, a następnie prowadzi do wyczerpania mięśnia sercowego w mniejszym lub większym stopniu.

Tak często u otyłych zwiększone zapotrzebowanie pokarmów powoduje, jakeśmy to już w poprzednim artykule czytali, dalsze skutki złej przemiany materyi, jak: arteriosklerozę, choroby nerek, wątroby i t. p.—i tworzy się prawdziwie błędne koło, z którego wyjście bywa zwykle bardzo trudne!

Dr. W. Wolska-Rościszewska.

COLETTE YVER.

ADWOKATKI.

POWIEŚĆ

przekład z fran. Zofii Sokołowskiej.

37)

III.

Marcelek żył, jak królewicz, ale zbytkowne otoczenie i względy, okazywane mu przez służbę, nie zdołały go rozweselić. Brakowało mu ciepła domowego ogniska.

Alembert rozkoszował się swoją rolą ojca, codzień przychodził budzić go o siódmej, sam odsuwał firanki u łóżka, całował go i z udaną surowością kazał mu wstawać. Chciał w ten sposób zrównoważyć ujemny wpływ zbytniej czułości matczynej, która mogła rozhartować chłopca, ale czynił to tak niezręcznie, że Marcelek odrazu poznał się na tem. Chłopiec szedł do łazienki pod prysznic, ojciec zaś tymczasem roztwierał książki, żeby przesłuchać go lekcyi przed pójściem do szkoły. Przynoszono nawet czekoladę do jego pokoju, żeby nie stracić ani chwili.

Bez względu na swoje prace i obowiązki, Alembert nigdy nie chybił godzin przeznaczonych na drugie śniadanie i obiad, sta-

rając się zabawiać wtedy syna stosowną do jego wieku rozmową. Dbał także o jego rozrywkę, co niedziela sprawiając mu jakąś przyjemność. Pomagał mu przy odrabianiu lekcyi, jak korepetytor, a chociaż stara jego przyjaciółka chciała swatać go z młodą i piękną panną, odpychał myśl powtórnego małżeństwa z obawy, że dziecko mogłoby na tem ucierpieć. Uważał, że okupuje swoją winę, żyjąc, jak wdowiec.

Marcelek, otoczony takiemi staraniami, był wciąż zagadkowy i zamknięty w sobie. Bardzo rozwinięty na swoje lat trzynaście, widział doskonale, że ojciec go ubóstwia, ale nikt nie mógł odgadnąć, czy sprawia mu to przyjemność. Alembert, chcąc mu zostawić większą swobodę, nie kazał odprowadzać go do liceum, które leżało bardzo blizko. Przypuszczając, że dziecko będzie pragnęło mieć częściej wiadomości od matki, z którą widywał się tylko raz na tydzień, zaraz z początku rzekł do niego:

— Będziesz mógł pisywać do matki i odbierać od niej listy, ile razy zechcesz, a ja nie potrzebuję nawet wiedzieć o tem.

Zauważył jednak, że mimo pozwolenia, chłopiec żadnej nie prowadził korespondencyi; to go ubodło, gdyż widział w tem dowód nieufności ze strony Zuzanny. Uszanowanie, które syn mu okazywał, także go martwiło. Marzył o ścisłym, serdecznym stosunku, dzięki któremu mógłby urobić tę dziecięcą duszę, a tymczasem natrafiał na zimną, spokojną grzeczność, ścinającą mu serce lodem. Byłby wolał doznawać od niego uchybień, gwałtownych wybuchów, które odsłaniają tajniki duszy chłopięcej. Miał wrażenie, że Marcelek, idąc z nim na przechadzkę, czy podając mu czoło do pocałowania, zawsze mówi sobie z westchnieniem: „Muszę, więc jestem posłuszny".

— Moje dziecko nie należy już do mnie! — codzień z goryczą powtarzał sobie Alembert.

Jesienne mgły zaszkodziły mu, przeziębił się i musiał kilka dni spędzić w łóżku. Marcelek, wróciwszy z liceum, zawsze przychodził zapytać się o zdrowie ojca, ale inżynier, rozdrażniony skutkiem choroby, opanowany przez czarne myśli, zawołał raz:

— Ach! gdybym umarł, toby było najlepiej! Pozbyłbyś się mnie.

Chłopiec zbladł i odszedł w milczeniu z twarzą tak zasmuconą, że ojciec pożałował swego wybuchu. Wieczorem pod poduszką znalazł kopertę, a w niej list od syna. Ręce mu się trzęsły, kiedy go czytał.

„Dlaczego sprawiłeś mi dziś taką przykrość, ojcze? — pisał Marcelek — w czem zawiniłem względem ciebie? Jak możesz przypuszczać, że ja cię nie kocham? Jeżeli sądzisz, że nie oceniam twojej dobroci, to się mylisz. Jesteś bardzo dobrym ojcem, a ja nie mam lat siedmiu i widzę to, mam jednak prawo martwić się czasem, a jeżeli nie chcesz, żebym cierpiał, nie mów do mnie w ten sposób".

Te krótkie zdania, starannie obmyślone, wzruszyły Alemberta, ale zarazem odsłoniły mu głębię duszy dziecięcej. W jaki sposób żona urobiła ją? Co ten nieprzejednany chłopak myślał o swoim ojcu? Kiedy przyszedł powiedzieć dobranoc, inżynier pochwycił go i namiętnie przytulił do serca. Marcelek zmiękł po raz pierwszy i łzy zabłysły w jego oczach.

W kilka dni później Alembert, zupełnie już zdrów, przechodził obok liceum w chwili, kiedy rozpuszczano uczniów. Dzień był szczególniej ciepły, jak na listopad, tchnął jednak smutkiem jesieni, niebo miało bladą, pastelową barwę, leciuchna mgła przyćmiewała słońce. Alembert postanowił czatować na syna i pójść z nim na jaką samotną przechadzkę, która tyle sprawiała mu przyjemności. Najmłodsi wybiegali pierwsi, tłocząc się i popychając, za nimi inżynier dojrzał angielską czapeczkę Marcelka, ale zdumiał się na widok pośpiechu, z jakim ten spokojny chłopiec torował sobie drogę śród ciżby. Zanim ojciec zdążył zawołać na niego, Marcelek był daleko.

Alembert przyśpieszył kroku i dojrzał syna na rogu bulwaru Hausmana. Chłopiec stanął i zaczął się rozglądać. Kogo on szukał? Za chwilę biegł w stronę opery i dopadłszy do karety, stojącej przy chodniku, zapukał do drzwiczek, które otworzyły się natychmiast i zamknęły za nim.

Alembert stanął, jak wryty: wszystko wirowało wkoło niego. Doznał takiego zawrotu głowy, jak kobieta, która jest świadkiem zdrady ukochanego człowieka. Poznał karetę Zuzanny... A więc oszukiwali go oboje: żona i syn, spotykali się potajemnie o kilka kroków od jego domu. W pierwszej chwili miał ochotę otworzyć brutalnie te drzwiczki, schwytać na gorącym uczynku przewrotną kobietę, która pieszczotami odciągała od niego serce syna. Wyobrażał sobie, jak ten zimny chłopiec, który nie miał dlań ani uśmiechu, ani tkliwego słówka, tuli się do piersi matczynej, niby małe dziecię. Ona go żałowała, oboje zachęcali się do wytrwania w tem męczeństwie, a nieszczęśliwy ojciec musiał się ukrywać, jak wróg, żeby nie przerywać ich czułości.

Ludzie potrącali go, obok chodnika przesuwały się wózki, na których piętrzyły się góry róż i fiołków. Środkiem bulwaru powozy toczyły się z łoskotem, życie wrzało dokoła.

— Jakże jestem sam! — pomyślał rozwiedziony mąż Zuzanny.

Nie przyszło mu jednak na myśl ożenić się powtórnie; był tak głęboko zraniony, że nic go już nie nęciło. Nie potrafił zdobyć serca syna!..

Kareta zwolna podjechała do rogu ulicy Caumartin. Alembert machinalnie skręcił w bok, żeby go nie widziano, i jednocześnie z synem stanął przy windzie. Chłopiec miał twarz obojętną, jak zwykle; ojciec nie mógł jeszcze zapanować nad sobą i oddychał z trudnością. Oszukiwali go! Drwili sobie z wyroków sądu! Widywali się codziennie w karecie i udawali potem rezygnację! Dłużej nie zgodzi się być igraszką w ręku tych dwojga. Szukał odpowiednich wyrazów, żeby przemówić ostro do Marcelka, ale gniew go dławił. Śniadanie zjedli w milczeniu; o drugiej chłopiec poszedł do szkoły, ojciec zaś rozpamiętywał swoją krzywdę.

Stopniowo uczuł litość dla biednego dziecka, zmuszonego dzielić swoją miłość między ojca a matkę, rozłączonych i wrogich sobie. I o co można było je obwiniać? Alembert nie dziwił się, że trzynastoletni chłopiec uwielbiał nieszczęśliwą, znieważoną matkę. Jakiego rodzaju była ta zniewaga? Marcelek umiał już zastanawiać się nad tem, a jednak z delikatnością nadzwyczajną w jego wieku wstrzymywał się od wszelkich pytań, ukrył się ze swoją boleścią i okazywał ojcu najgłębsze uszanowanie. Czyż to zbrodnia, że zatęsknił za pocałunkiem matczynym, że pragnął uściskać tę piękną młodą matkę, od której oderwano go gwałtem? Krótkie to były spotkania, obojgu musiały serca bić mocno z obawy odkrycia. Alembert wkońcu zaczął żałować syna.

Przy obiedzie nic mu nie powiedział, lecz rozmawiał z nim jak zwykle i wzruszony był widokiem jego usiłowań, żeby utrzymać granicę między oziębłością a serdecznością pełną zaufania. Postanowił zamykać oczy na wszystko.

A jednak myśl o codziennych spotkaniach syna z matką nie dawała mu pokoju. Jeżeli przedtem cierpiał, że w każdy czwartek dziecko jest pod wpływem nieubłaganej Zuzanny, która zniechęca je do ojca, cóż się z nim działo teraz, kiedy miał pewność, że widywali się codziennie! Dwa razy poszedł ich wypatrywać i zawsze na widok karety, do której wpadał rozpromieniony Marcelek, czuł, że krew z oburzenia bije mu do głowy. Odwiedziny czwartkowe były bolesne tylko dla jego serca, teraz wobec podstępu, uwłaczającego prawu i władzy ojcowskiej, cierpiała godność jego, buntowała się duma i miłość własna. Miał niekiedy ochotę wybić syna, to znów chciał wyjechać z nim w daleką podróż. Nie mógł dłużej wytrzymać w tej rozterce i poszedł opowiedzieć wszystko swemu adwokatowi.

Fabrézan ruchami rąk i wyrazem twarzy objawiał różne uczucia, od zdumienia do rozrzewnienia, a potem rzekł:

— To bardzo drażliwa sprawa! Czy można dopuścić, żeby sędziowie wtrącali się do takich rzeczy? W tem, co robi syn i żona, niema nic zdrożnego, a jednak ty nie możesz na to pozwolić. Bardzo dobrze, żeś udał, jakbyś o niczem nie wiedział... Zresztą chłopiec w czternastym roku nie jest zwierzątkiem, które przechodzi z rąk do rąk. Do licha! trzeba liczyć się z jego indywidualnością. To wszystko musi jednak źle wpływać na niego, trzeba więc przeciąć te stosunki... Jabym ci radził umieścić go na pensyi w Condorcet z warunkiem, że wieczorem będzie przychodził na obiad; zaufany służący będzie go codzień przyprowadzał. Możesz to upozorować nawałem zajęć, które nie pozwalają ci jadać śniadania w domu.

— Ja sam będę go zabierał z pensyi.

— Wybornie! Tym sposobem oszczędzisz panią Marty, która ma wszelkie prawo do naszej wyrozumiałości. Istotnie, rozwód wytworzył dla was położenie bez wyjścia. Ach! pomyśleć, że dwoje takich ludzi, jak wy, marnuje życie na wzajemne szarpanie się, kiedy mogliby...

— Mogliby co?—zagadnął Alembert.

— Nic. Myślałem sobie głośno.

(c. d. n.).

Praktyczna szkoła handlowa dla kobiet w Paryżu.

Zakład ten, istniejący od r. 1850, przygotowuje także do pracy zawodowej całe zastępy kobiet i oprócz pięciu oddziałów w Paryżu, posiada oddziały w Lugdunie, Marsylii, Bordeaux, Nantes i Tuluzie, za granicą zaś w Neapolu i Barcelonie. Celem szkoły jest przygotowanie uczniów i uczenic w jak najkrótszym czasie do pracy w gałęzi handlowej i finansowej. Już w 13 roku można do niej wstąpić i to bez egzaminu. Umiarkowana opłata, organizacya kursów dziennych i wieczornych, możność przerywania studyów i rozpoczynania ich nanowo, wydawanie dyplomów po skończeniu kursu a następnie pomoc w wyszukiwaniu pracy, stanowią dla uczestniczek wielką zachętę.

Dla osób, które nie mogą słuchać wykładów na miejscu, wprowadzono nowy sposób nauki za pośrednictwem korespondencyi. Chcąc uczącą się młodzież zaznajomić praktycznie z rozmaitemi czynnościami handlowemi, założyciel szkoły urządził ją na wzór prawdziwego domu handlowego: są sklepy, gdzie odbywa się sprzedaż towarów, biura ekspedycyi i rachunkowości. Przedmiotem tranzakcyi, załatwianych w szkole, jest: kupno i sprzedaż artykułów księgarskich i piśmiennych, wydawanie dziennika, korespondencya, monografie rachunkowe i prace z zakresu handlu, przemysłu, rolnictwa, operacyi bankowych. Ażeby ułatwić uczniom obznajmienie się z taryfami, otworzono przy szkole filię biura pocztowego, kolejowego, telegrafu i banku. Po otrzymaniu wskazówek teoretycznych, uczenice przechodzą następnie do praktycznego ich zastosowania; przytem spełniają czynności prawdziwych sklepowych: prowadzą księg. handlowe, mają do czynienia z miarami, wai gami i t. p.

Wszystko tam jest obliczone na wygodę uczenic wykłady odbywają się trzy razy dziennie między 9—11 zrana, 2—5 po południu i 8—10 wieczorem. Czas trwania nauki zależy od przygotowania uczenic, ich zdolności, oraz czasu, którym rozporządzają. Kto nigdy nie pracował w gałęzi handlowej musi poświęcić najmniej pół roku, żeby obznajmić się z czynnościami handlowemi; kto ma już pewne początki, temu wystarczą trzy miesiące. Nauka obejmuje trzy stopnie, z których każdy stanowi oddzielną całość. Prócz tego są specyalne kursa kaligrafii, stenografii daktylografii i języków obcych.

Dziś, kiedy każda prawie młoda dziewczyna przygotowuje się do jakiejś pracy zawodowej, niejedna może będzie chciała korzystać z tej szkoły, tembardziej, że można przechodzić kursa zapomocą korespondencyi. W tym celu dajemy jej adres: „53 rue de Rivoli—Pigier.

Gozdawa.

Uzdrowisko wychowawcze

dla dzieci wątłych w Szwajcaryi.

Jeden z najdzielniejszych pracowników na niwie dobrze zrozumianych zabiegów około *uzdrowienia* społecznego, Dr. Julian Gawroński, opuścił przed rokiem kraj. Ci z pośród nas, którzy mieli pełne uznanie dla jego rozumnej działalności, popartej wyjątkową pracą i ogromną obowiązkowością, żegnali go z żalem. Ubył—bowiem, świetny pracownik, a tych jest nie do zbytku. Wyjechał, ale myślą zawsze z krajem złączony — stworzył wzorowe uzdrowisko wychowawcze w Vevéy nad Lemanem w Szwajcaryi, w którem niejedno polskie dziecko znajdzie troskliwą, umiejętną opiekę.

Zadaniem uzdrowiska będzie podtrzymać, rozwinąć i zahartować słabo wegetujące siły fizyczne wątłego dziecka do tych najwyższych granic, na jakie w każdym oddzielnym przypadku pozwoli odziedziczona konstytucya dziecięca, oraz wdrożyć dziecku nawyknienia hygieniczne, dzięki którym ustrój utrzymywałby się w późniejszem życiu na poziomie przywróconego mu zdrowia.

Podstawowym środkiem do osiągnięcia powyżej wymienionych zadań będzie wychowanie, oparte na ogólnych wskazaniach współczesnej wiedzy o dziecku (anatomii, nauki rozwoju, fizyologii, psychologii i hygieny) i przystosowujące się do potrzeb danej organizacyi dziecięcej (indywidualizacya).

Warunki klimatyczne obranej miejscowości są świetne, bo łagodność i suchość klimatu pozwoli dziecku przebywać rok cały na powietrzu. A dom budowany specyalnie jest wzorem hygienicznie urządzonego ogniska domowego.

Zakład taki jest niezmiernie potrzebny. Ileż to marnuje się dzieci, nawet rodziców zamożnych, które pozbawione pełnego rozwoju—mogłyby jednak mieć egzystencyę pożyteczną i sobie i drugim, gdyby poświęcano osobne starania, koło ich rozwoju. Starania, oparte na zdobyczach wiedzy lekarskiej.

Zakład Dr. Gawrońskiego w pełni odpowie takim zadaniom.

Warunki materyalne oczywiście nie mogą być bardzo małe.

Opłata od dziecka wyniesie rubli tysiąc za rok szkolny w ratach półrocznych z góry. O ile dziecko pozostanie w czasie wakacyi letnich w zakładzie, opłata za wakacye pobierana będzie w stosunku rocznym. Dla dzieci przyjmowanych na czas krótszy, warunki materyalne ustalane będą w każdym poszczególnym przypadku.

Każde dziecko zaopatrzone być ma w wyprawę, złożoną z ubrania, obuwia oraz bielizny osobistej i pościelowej, według wzoru, który podajemy.

Wzór wyprawy dziecka. Bielizna 12 koszul dziennych z miękkim gorsem i miękkiemi wykładanemi kołnierzykami (6 kolorowych, 6 białych). 6 koszul flaneletkowych, sportowych (3 grubszych, 3 cieńszych). 5 koszul nocnych, długich do kostek. 6 par pończoch (3 p. grubszych, 3 p. cieńszych), 12 par skarpet (6 grubszych, 6 cieńszych). Podwiązki hygieniczne do pończoch i skarpet 2 tuziny, chustek płóciennych do nosa (45×45 cm.), 6 ręczników (50×100 cm.). 4 ręczniki kąpielowe ev. prześcieradła (włochate), 2 kostyumy kąpielowe, 8 prześcieradeł (4 pod kołdry, 4 na materace 250×200 cm.) 6 poszewek 60×100, 2 kołdry wełniane (ciepłe, lekkie, białe 210×170 cm.), 2 kołdry pikowe, letnie, białe 210×170 cm. 12 par majtek płóciennych, obszernych (6 krótkich, 6 długich do kostek z mankietami), 1 szlafroczek płócienny. 6 serwetek stołowych 70×70 cm., 4 ściereczki, 1 worek z mocnemi trokami do zużytej bielizny.

Ubranie: 2 kostyumy świąteczne (1 letni, 1 zimowy) 2 kostyumy powszednie: (1 letni, 1 zimowy), kostyum wełniany składa się ma z kurtki i spodni krótkich zapinanych pod kolanami na guziki (dostarczyć podobny materyał i wełnę do reparacyi). 3 bluzki do pracy z mocnego płótna do kolan, 1 kapelusik lekki angielski, miękki). 1 czapka zimowa z nausznikami. 2 peleryny do kolan nieprzemakalne z kapturami (1 lekka, letnia, 1 grubsza, zimowa). 1 serdak zakopiański, 2 pary rękawiczek nicianych letnich, 2 pary rękawiczek wełnianych zimowych, 2 pary szelek mocnych, hygienicznych.

Obuwie: 2 pary bucików sznurowanych z nizkiemi obcasami, szerokiemi nosami, mocnemi sznurowadłami (1 para podkuta). 1 para kamaszy lub półbucików giemzowych wyłącznie do użytku wewnątrz domu (do półbucików skarpety ciemne), 1 para trepek, 1 para pantofli płóciennych na skórzanych podeszwach. 1 para pantofli filcowych z wysokiemi cholewkami, zapinanemi na klamry. 1 para bandaży sukiennych (pelletiery). 2 pary prawideł do bucików.

Różne. Worek podróżny na plecy. Ciupaga. Puszka blaszana do zbiorów. Szczotki do zębów (hygieniczne), włosów butów i ubrania. Grzebień gęsty i szczotki. Maszynka do strzyżenia włosów N°. 1-szy. Flaszka hermetycznie zamykana z aluminium do eliksiru. Mydło w pudełku aluminiowem. Kubek aluminiowy do płukania ust (ev. srebrny lub platerowany). Nożyczki do paznogci, 2 sztućce, jeden stołowy, jeden deserowy, złożone z łyżki, widelca i noża (srebrne lub platerowane). Agrafki, szpilki, igły, nici, guziki, naparstek, sznurowadła i tasiemki.

Wszystkie z powyższych rzeczy, możliwe do znaczenia, znaczone, wyraźnie, z nadaniem znakom pewnej odrębności (formą, barwą). Komplet przedmiotów toaletowych w torebce płóciennej lub skórzanej ze znakiem. Cała wyprawa w kufrze mocnym, opatrzonym literami i dwoma kluczami. Przy rzeczach dwa spisy: jeden, podpisany przez rodziców, pozostanie w uzdrowisku, jeden podpisany przez dyrektora zakładu, zwrócony zostanie rodzicom.

Wyprawa w części lub całości może być zrobiona w Vevéy za omówioną opłatą.

Całość tej wyprawy każdą nieszczęśliwą matkę, która musi szukać ratunku dla nienormalnego dziecka—już pouczy o staranności, z jaką wszystko jest obmyślone i przewidziane. A imię Dr. Gawrońskiego daje rękojmię, że wszystko będzie zwrócone ku pożytkowi powierzonej jego opiece upośledzonej ludzkiej istoty.

L. K.

Kronika bieżąca spraw kobiecych za granicą.

— W Berlinie powstał bank dla kobiet. Właścicielki składów konfekcyi, mydła, przyborów do pisania, towarów galanteryjnych, kwiatów, krawczynie etc. wogóle osoby, które z braku kredytu dotąd były bezradne, mają znaleźć poparcie, w podniesieniu i rozwoju swoich przedsiębiorstw. Udział oznaczono na 100 marek, przyczem wpłata może nastąpić częściami. W razie korzystania z kredytu np. 800 marek ściąga się cały udział 100 m. Przy kwotach kredytowych mniejszych potrąca się na udział proporcyonalnie mniej więcej $^1/_5$ część kwoty kredytowej. Formą kredytu jest weksel z jednym dobrym podpisem, oprócz osoby pożyczającej. Towarzystwo w krótkim czasie doszło do 1,000 członków przy poparciu pań, przystępujących również ze sfer nieinteresowanych. Dotychczasowe doświadczenia wykazują, że sfery ubogie, korzystające z kredytu, będącego dla nich dobrodziejstwem, wypłacają się zupełnie terminowo.

— Do nowego sejmu fi.landzkiego wybrano z partyi szwedzkiej 3, z socyalno-demokratycznej 11, z młodo-fińskiej 1 kobietę. Posłowie kobiety zakreśliły szeroki program wniosków o reformie prawa karnego, praw cywilnych kobiety, żony i matki, publicznego wychowania dzieci opuszczonych, pomocy i inspekcyi fabrycznej.

— W Rzymie odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne związku praw wyborczych dla kobiet włoskich. Po trzydniowych obradach postanowiono: opracować ustawę krajowego włoskiego związku praw wyborczych dla kobiet, którego członkami będą delegowane miejscowych prowincyonalnych komitetów. Zarząd stanowić będzie wybrana na zjeździe komisya wyborcza wykonawcza z siedzibą w Rzymie. Związek żądać będzie równych praw wyborczych dla kobiet i zorganizuje wielki kongres na wiosnę w Turynie.

— Założony w roku 1908 związek praw wyborczych dla kobiet we Francyi, po dwóch latach istnienia liczy obecnie 3 tysiące członków rzeczywistych i drugie tyle sympatyków z innych korporacyi, którzy łączą się w działaniu wspólnem. Związek liczy 24 Kół, z tych 15 w Paryżu i 9 na prowincyi.

— Pani Jean Bertheroy otrzymała znak legii honorowej od Akademii francuskiej, pani Bertheroy jest autorką kilku wybitnych romansów klasycznych i wielu zajmujących współczesnych powieści.

— W Nowym-Yorku udzielono pierwszego amerykańskiego dyplomu pilota kobiecie, pani Harriett Quimby. Lotniczka otrzymała dyplom po 33 lekcyach. Obecnie w wielu szkołach lotniczych nie biorą wynagrodzenia za całość kursu lotnictwa, lecz od lekcyi. W ten sposób zdolniejsi uczniowie mają możność tańszego ukończenia kursu.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Prenumeratorce ze wsi radzibyśmy coś poradzić — ale narazie sami nie wiemy. Posyłamy list Sz. pani specyalistkom, może co wymyślą. A gdzie pani kupowała ten materyał? Pewno nie w solidnej firmie.

P. Maryi Wińczynie. Pani będzie łaskawa zwrócić swe zamówienie do p. Żdziechowskiej, Chmielna 27, z powołaniem się na nasze pismo. Wyśle za zaliczeniem i robotę nawet może zacząć. Będzie napewno rzecz piękna. Za miłe wyrazy dziękujemy.

Podlasianka z całym impetem wpadła na „Mrówkę", tak, że ledwie jej nie zgniotła. Ale mrówczy naród silny a wytrwały. Widocznie ją to srodze zabolało, bo zcichła, a teraz skruszona staje przed nami i pyta, czy jeszcze gniewy trwają i za co? Nie możemy w sprawach stroju zabierać stanowczego głosu. Na to mamy nasze Pitye i Sybille. Ale... może i trochę racyi miała mała „Mrówka", twierdząc, że skoro się ubiera starannie na pierwszą lepszą wizytę, to tęm mniej naganne jest przystrojenie się na uroczyste chwile życia. W każdym razie zapewnia nas, że „osobiste" wycieczki nie grały roli w tym artykule, a nie wątpi, że mrówczą swą pracą potrafi odzyskać na chwilę utracone łaski, o co jej bardzo chodzi.

P. Z. L. Wszelkie formy na zamówienie wykonywa pracownia p. Gałeckiej, Chmielna 12. Żakiety jesienne radzimy zamawiać wcześnie. Szlafroki kimono zawsze modne.

Strapionej. Kto by tam zwracał uwagę na babskie ploteczki. Szkoda na to czasu! A potem, niech pani porówna treść duchową tych, którzy ludzi szkalują, z tymi, którzy dla ludzi mają pobłażanie i wybaczenie w sercu. Stanie pani plastyczny obraz ich wartości i nie odpłaci się pani nigdy — *obgadującym ich bronią.* — Sobie samym szkodzą zawsze więcej, aniżeli tym, którym szkodzić pragną. Małe móżdżki ptasie nie są w stanie objąć wielkiej sprawy olbrzymiego dzieła życia i szamocą się i giną w drobno wiązanej siatce swej egzystencyi.

Mało u nas znany poeta Mieczysław Romanowski woła w jednym ze swoich ślicznych wierszy „Orły, sokoły! Dajcie mi skrzydła!... duszę weźcie na wasze loty i ją zanieście w marzeń kraj złoty". Dobrze jest właśnie czasem wśród szarzyzny codziennego życia zawołać:

Weźcie mnie z sobą orły! sokoły! i... spojrzeć *z góry* na maleńkie ludzkie sprawy.

P. M. Streb... Miły iist Sz. pani, w imieniu „kółka czytelniczek" przysłany, zrobił nam wielką przyjemność. Podzielimy się drogimi nam wyrazami uznania z p. Zofią Sokołowską, autorką artykułu, o dzielnej polce Sowińskiej. P. Sokołowska miłością prawdziwą otacza postacie naszych zasłużonych niewiast — to też wypłaca się jej to dobre uczucie, bo niemal po każdym życiorysie których szereg dajemy, odbiera uprzejme listy czytelniczek.

P. Hrz. z Hrubieszowa. Do odnośnego działu zwróciliśmy żądanie Sz. pani i stamtąd będzie odpowiedź. Radzimy jednak od siebie koniecznie poradzić się lekarza specyalisty, choćby kosztem umyślnego przyjazdu do Warszawy. Za słowa pełne uznania dla naszej „żywotnej inicyatywy i popierania wszelkiej pracy na niwie ekonomiczno-społecznej", jak to Sz. pani łaskawie pisze, serdecznie wdzięczni jesteśmy.

OFIARY.

Biedni do uzn. Repakcyi.

M. Pr. rb. 3.

Dla Henia i Sylwka.

Danielewiczowa zamiast nabożeństwa żałobnego za syna rb. 2.

Kasa zap. współpr. T. Mód.

Wiśniewska (Nadolce) rb. 1 50

Kolonje letnie.

L. Lenartowiczowa rb 1.

Dla Matki.

J W. rb. 4.

Dla wdowy N.

A. Opolska kop. 75

Dla sparaliżowanego zecera.

Zofia Józefowa Piaseczka. rb. 10.

L. Lenartowiczowa rb. 3.

J Orzieła rb. 2 kop. 2.

M. R. rb. 3.

J. Borowska rb. 7.

W. D. rb. 3.

O POMOC!

Szanowne Czytelniczki tylokrotnie zapytują nas, na co mają przeznaczyć grosz swój ofiarny.

A oto przychodzi niedola. Jeden z pośród nas, człowiek przez długie lat dziesiątki układający literki pisma, które Szanowne Panie tak chętnie czytacie — zaniemógł. Paraliż odjął mu możność pracy. Dzieci nie gotowe jeszcze do walki z życiem. Nędza za progiem. Prosimy dla niego o skromne grosze, które mogą poratować w ciężkiej niedoli człowieka nawykłego do twardej pracy—nie żebraniny. A tem nieszczęśliwszego, że dziś do ofiarności ludzkiej zwracać się musi, która niechże go nie zawiedzie.

Ofiary przyjmuje Administracya *dla sparaliżowanego zecera.*

Koniec działu redakcyjnego.

Treść numeru 37-go: O „psiej duszy" ze stanowiska Arystotelesa.—Na obczyźnie (wiersz).—Spóźnione szczęście, powieść Ostoi - Sawickiej (c. d.).—Mały szkic wielkiej duszy (c. d.).—Aeroplany nad Warszawą.—Głosy kobiece w prasie.—Z zapadłego kąta.

Dział mód i robót ręcznych.

Nowości jesienne.—Kronika mody.—Co się dowiedziałam.—Otyłość chorobliwa.—Adwokatki, powieść Colette Yver (c. d.).—Praktyczna szkoła handlowa w Paryżu.—Uzdrowisko wychowawcze dla dzieci wątłych w Szwajcaryi.—Kronika bieżąca.—Odpowiedzi od Redakcyi.—O pomoc.—Z dziedziny kosmetyki.—Ogłoszenia.

Na okładce: Wskazówki praktyczne.

Z dziedziny kosmetyki.

Obywatelce. Chcąc utrzymać piękną i zawsze świeżą cerę, bez wyrzutów, pryszczy, liszai i plam przeróżnych, trzeba odrzucić raz na zawsze wszelkie kosmetyki, i wcierać w twarz stale *Abarid*, który, jak wiadomo, nie jest kosmetykiem w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, gdyż w skład jego nie wchodzą części otrzymywane w laboratoryach chemicznych. *Abarid* jest poprostu galaretowatym wyciskiem z cebulek białej lilii (*Lilium Candidum*), specyalnie przyrządzanym z miodem. Otóż niewielka ilość *Abaridu*, wyciśnięta z tuby, na objętość ziarnka grochu, i roztarta w dłoniach, powinna być codziennie na noc zastosowana do twarzy. Taka mała ilość wystarczy, aby skóra stała się gładką, biało-matową i odporną na zmiany atmosferyczne, a muskuły twarzy nabrały jędrności, co zabezpiecza od fałdowania skóry i tworzenia się zmarszczek. *Abarid* wcierany stale nawet już zarysowane zmarszczki rozgładza, przez co daje pozór młodości i bardzo wiele osób spotykamy codziennie, które tylko *Abaridowi* zawdzięczają swój wygląd, pomimo wieku, w którym bez *Abaridu* zmarszczki zdaleka widocznemi by były. Przy używaniu odżywczego *Abaridu* niewolno kłaść na twarz żadnych tłustych kremów, ani stałych, ani płynnych, gdyż tłuszcze rozluźniają skórę; przytem mydła bezwarunkowo muszą być odrzucone, a myć twarz trzeba letnią wodą i *Otrąbkami abaridowemi*, które są sproszkowanemi łuskwinami cebulek liliowych po wyciśnięciu z nich *Abaridu*. Jeżeli przytem skóra przyzwyczajona do pudru, można lekko popudrować, ale tylko pudrem *Abarid*, który jest stanowczo wolny od wszelkich przymieszek bieli del metalicznych, jak bizmut, blejwajs i t. p. Owe metaliczne przymieszki działają zabójczo na skórę, gdyż zamulają zupełnie pory skóry, nie dozwalają tłuszczowi podskórnemu wydobyć się na zewnątrz przez co w owych porach rodzą się owe nieznośne wągry, tak trudne do wyleczenia. Puder *Abarid* pomimo tego przybiela lekko skórę i matuje, jak również przylega silnie, dzięki swej subtelnej miałkości, którą posiada wskutek kilkakrotnego przesiewania przez bardzo gęste gazy jedwabne. Bizmut dodawany do pudru oprócz tej kardynalnej wady, ma jeszcze jedną, a mianowicie czernieje na świetle, przez co twarz upudrowana pudrem z bizmutem, ma zawsze wygląd niezdrowy, brudno szarawy.

Różyczce. Opaleniznę i piegi usuwa bezpowrotnie *Precioza*, nie sprawiając zaognień skóry. Jeden słoik, a w razach uporczywych dwa, zupełnie wystarczają.

Do wszystkich. Wszystkie środki tutaj zalecane mają na składzie i wysyłają za zaliczeniem firmy: „*Perfection*" Szpitalna 10 i *Paszkowski* Marszałkowska 109, w Łodzi *Spiess*, w Wilnie *Grużewski*, w Kijowie *Niwiński*, w Odesie *Anderski*, w Lublinie *Bernatowicz*, w Radomiu *Cieszkowski*, w Piotrkowie *Borowski*, w Sosnowcu *Łączkowski*, w Częstochowie *Łopławski*, we Lwowie *Pawłowski*, Akademicka 21, w Poznaniu *Gadebusz* Nowa 7. Na kopertach z pytaniami należy dopisać: „*Dział kosmetyczny*".

Telimena.

Odpowiedzialna za redakcyę w Galicyi: Kamilla Chołoniewska, Kraków, ulica Zyblikiewicza, 8.

Redaktor Wacław Podwiński. Kierowniczka działu literac. i praktycz: Lucyna Kotarbińska. Wydawnictwo i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-w.

Klisze i druk wykonane w zakładach graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.